

ADAM MICKIEWICZ

zm 147

WYBÓR POEZJI

PRZEDMOWĄ I OBJAŚNIENIAMI

OPATRZYL

JÓZEF MACIEJOWSKI



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

1

9

2

5

*Tłoczono w Zakł. Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie.*

Projekt okładki wykonano w atelier „G R A F I K”, Warszawa.



171C
W4B
140

SŁOWO O TWÓRCY „PANA TADEUSZA“.

Dobrze jest w tych ciężkich dla nas czasach odbudowy Ojczyzny, czasach gorączkowego zmagania się o trwały byt, wziąć do ręki — choć w wyborze niewielkim, choć w fragmentach — przedsię uczuć i myśli najgenialniejszego z naszych twórców, a zatopiwszy się w piękno Jego dzieł, zapomnieć bodaj na chwilę o trosce, o walce dnia powszedniego.

Dobrze jest czasem odejść w przeszłość od zgiełku i wrzawy chwili obecnej, aby serce i umysł wysłonecznić promieniami, płynącemi z duszy i serca Tego, który po wszystkie wieki stał się nietylko dla nas, ale dla całej ludzkości źródłem przeczystem wiary, miłości i nadziei, rzecznikiem ideałów wolności, najwyższym wyrazem ukochania Ojczyzny i człowieka.

Przenosząc się w przeszłość, zapominając o zwykłym losie zjadaczy chleba, idąc za myślą i uczuciem dzieł Mickiewiczowskich, nie zerwie nikt jednak z teraźniejszością w ścisłym słowa tego znaczeniu. Miłość Ojczyzny będzie tym niewidzialnym łącznikiem pomiędzy wczoraj a dziś, tak bliskimi sobie, gdy o nasze ideały chodzi, a tak różnemi, skoro wiele zostało z marzeń poety urzeczywistnionego, skoro nie zginęła Jego najmilsza oblubienica — Polska, ale z grobu powstawszy, odrodzona z popiołów, zajaśnia-

ła całą potęgą żywotności sił swoich, rozdarta przez dziesiątki lat pomiędzy trzech mocarzy.

Gdzież spotkać dzisiaj polaka-obywatela, któryby nie kochał Ojczyzny, któryby nie pragnął Jej wielkości i sławy, jak pragnął tego Mickiewicz, nękany cierpieniem po utracie wolności, tęsknotą, smutkiem wygnańca-pielgrzyma?

A jak wspólna nam jest z Nim ta najwyższa i najszczytniejsza miłość kraju, tak wspólne wszystko inne. Słowa: „my wszyscy z niego“, nigdy nie będą zastąpione. Tak jest — my wszyscy z Niego. On był, jest, będzie opoką, na której budowaliśmy i budujemy dalej, utrwalaliśmy i utrwalamy bezustanku nasz byt.

Któż, jeśli nie On, w okresie niewoli naszej krzepił serca polskie w kraju i na wygnaniu, dając w Księgach Pielgrzymstwa i Narodu Polskiego szereg wzniosłych nakazów i rad, liczne przykłady z dziejów ludzkości, aby niemi podtrzymywać mocarność ducha polskiego, mdlejącego w więzach niewoli! Któż, jeśli nie On, zakuwszy w klasyczne obrazy piękno wsi polskiej, duszę i serce polaka, jego charakter, ideały, dał po wieki wieków w „Panu Tadeuszu“ cudowną wizję realnie ujętej prawdy — ożywcze źródła dla pokoleń krynicy wiecznej miłości Ojczyzny. Któż, jeśli nie On, w genialnej „Improwizacji“ porwał się, cierpiąc za miliony braci, zmierzyć z Bogiem Samym, by tylko niewolę w wolność zamienić już nie tylko Polski, jak Chrystus rozpiętej na krzyżu, ale ludzkości całej, szarpiącej się w więzach doczesności i w znojnym trudzie idącej ku szczytom najwyższych ideałów?

Ale nie tylko w Mickiewiczu drgała wszystkimi blaskami czarownej tęczy miłość Ojczyzny, miłość zbiorowego człowieka, miłość braterska. Dał w dziełach swoich głębię uczuć dla kobiety, głębię taką, że niewiele może Mu dorównać we wszystkich przejawach prawdziwej miłości. Gustaw, nim stał się Konradem,

będzie zawsze wyrazem wielkiego serca. W swem szczęściu, w swym bólu i cierpieniu, w tęsknocie za ideałem kobiecym, szalejący Gustaw z kręgu uczuć osobistych rzuci się, jako Konrad, w wir walki o wolność Ojczyzny, nie ma sobie prawie równych, nie ma tak samo jak Konrad — jedyne uosobienie w wszechświatowej literaturze, jedyne uosobienie w życiu cierpienia i miłości za miliony, jedyny, który mógł w najwyższym napięciu uczuć, w ekstazie nucić: ja i Ojczyzna to jedno. Męstwo Grażyny, okrutny czyn Wallenroda, miłością Ojczyzny okupiony, trawione pragnieniem wolności serce Konrada, w którego się Gustaw przeistoczył pod wpływem mąk współbraci, a potem ta słoneczna wielka miłość w „Tadeuszu” i pełne natchnienia wieszczego słowa Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa — każda karta z dzieł Mickiewicza ujmuje myśl według wskazań Chrystusowych tej czary nadziei i miłości, której zawsze hołdował wielki poeta, zostając mu wiernym do śmierci. Ani wygnanie, ani ciężkie przejścia moralne i materialne, ani rozterki i waśnie emigracyjne, ani nieszczęścia Kraju — nic nie potrafiło zachwiać Jego ducha, ducha-przewodnika narodu. Nic nie potrafiło złamać śpiżowego charakteru Mickiewicza, nic nie zdołało załamać jedynej i ostatecznej wytyczni, zamkniętej w wielkiem słowie dla każdego z nas: *Polska Zawsze* i wszędzie ta Polska umiłowana, zawsze i wszędzie ten brat-polak, wleczony na Sybir, pielgrzymuje po obcych krajach, tułacz, wygnaniec, któremu ani knut carski i katorgi moskiewskie, ani uzurpatorstwo innych gnębicieli, ani nędza i poniewierka nie wydarły z duszy i serca ideałów wolności i nie zabiły męstwa ani nadziei na lepszą przyszłość. Wierzył Mickiewicz, że naród polski nie był nigdy podłym, nie znikczemniał wśród przejść dziejowych, że tam na dnie, w najtajniejszych zakamarkach ducha polskiego jest siła niespożyta, jest mocarna żywotność, jest wielkość

genjuszów — twórcza, zdolna odrodzić tę, co zginąć nie mogła i powołać ją znów między inne wolne ludy, by z niemi wśród walk o ideały wspólnie szła w światy Piękna, nietylko szła, ale przodowała, wyszlachetniona cierpieniem, a jak chciał poeta, przeznaczona ku prowadzeniu innych.

„Więc z wiarą i miłością wypłynie statek pielgrzymi polski, a bez wiary i miłości ludy wojenne i potężne zabłądzą i rozbiją się. A kto z nich wyratuje się, nie odbuduje okrętu“ — albowiem: „Dlaczegoż dane jest narodowi naszemu dziedzictwo przyszłej wolności świata“.

Dlaczegoż dana jest narodowi naszemu moc zmartwychwstania?

Na te pytania, postawione w „Księgach Pielgrzymstwa“, odpowiada poeta, że nie dlatego, że naród polski tak był potężny, że Rzeczpospolita była starożytna, a naród oświecony naukami, ale dlatego, że naród polski, jak ten Łazarz, a będąc nim i jako on umiłowany przez Chrystusa wzbudzony będzie, boście narodem wierzącym, kochającym i nadzieję mającym.

Widział Mickiewicz naród polski, jako powołany do szczególnej misji przyświecania ideałami innym, stawiał wyżej ponad inne, wiedziony niczem, tylko miłością Ojczyzny.

Czucie i wiara — jak powiedział — więcej do Niego mówiły, niż szkiełko i oko mędrca. Powiedział prawdę. Przez to właśnie czucie wyczarował „Pana Tadeusza“, przez nie stał się najbardziej narodowym poetą, najbardziej chrześcijańskim.

Bóg i Ojczyzna—oto hasła Jego. W imię tych hasel przepowiadał: nie badajcie, jaki będzie rząd w Polsce, nie pytajcie o jej granice, bo rząd lepszy będzie niż inne, a granice większe niż kiedykolwiek. Stanie się to wtedy jednak, kiedy polacy powiększą i polepszą duszę swoją, o tyle powiększą prawa swoje i granice.

W ostatnich latach swego życia marzył o sile zbrojnej polskiej, o tem, że ruchy rewolucyjne tego czasu dopomogą do powstania Polski.

W 1855 r. zgaśł, zapadłszy nagle na grasującą w Konstantynopolu chorobę, dokąd się udał, aby zorganizować legion polski.

Zgaśł największy poeta, najszlachetniejszy człowiek, geniusz narodowy, ale nie zgaśł jego duch, nie zgasła ta siła tajemna, która z nami na zawsze połączona, rozświetlać będzie wciąż umysły i serca, wpajając coraz to potężniej moc w duszę zbiorową narodu; pogłębiając hart i siłę woli, tak nam potrzebne właśnie w dobie odradzającej się Ojczyzny.

I przejdą dziesiątki lat, nowe przyjdą pokolenia, dziedzice ziemi swej rodzimej, i tak samo jak nasi przodkowie, jak my dziś, czerpać oni będą po drodze swej z dzieł geniuszu stawanie się coraz doskonalszymi, albowiem takie duchy, jak Mickiewiczowski są wcieleniem najwyższego piękna i dobra, są nie przemijające nigdy.

Adam Bernard Mickiewicz, herbu Poraj, syn adwokata Mikołaja i Barbary z Majewskich, urodził się w Zaosiu pod Nowogródkiem 24 grudnia 1798 r. W dzieciństwie był zdrowia słabego, a jako niemowlę upuszczony przez piastunkę, spadł z okna. Wtedy matka oddała dziecię w opiekę Ostrobramskiej Pannie i cudem Adam wyzdrowiał. Wykształcenie pobierał od r. 1807 w Nowogródku, w szkole powiatowej ks. Dominikanów. W r. 1812 utracił ojca i w tymże roku widział wojska napoleońskie, ciągnące na wschód, czego wspomnienie przechował w „Panu Tadeuszu”. Ukończywszy gimnazjum (1815) udał się na uniwersytet wileński dla poświęcenia się zawodowi nauczycielskiemu. — (1815 — 24). W Wilnie zaopiekował się nim daleki krewny, ks. Józef Mickiewicz,

dziekan wydziału matematyczno-fizycznego, za którego poradą poświęcił się zrazu tym umiejętnościom, lecz już w drugim półroczu przeniósł się na wydział literatury i sztuk wyzwolonych. Z profesorów tego wydziału największy wpływ na umysł młodego Adama wywarli: Leon Borowski, (wykładał poetykę), Joachim Lelewel i Grodeck (filolog). Na umysłowy jego rozwój wpłynęły w tym czasie trzy ważne czynniki: a) Praca, wrodzone zdolności i świetny stan uniwersytetu. b) Pożycie koleżeńskie. Właśnie wówczas związał Tomasz Zan związek Filomatów (1817) i Filaretów (1819), do którego i Mickiewicz przystąpił. Wolne chwile od pracy spędzali stowarzyszeni na czytaniu poetów Zachodu o nowym kierunku i próbowali sił swoich w poezji. Od r. 1819 zaczął też Mickiewicz oddawać się poezji naprawdę. W r. 1819 napisał wiersz bez tytułu do Filomatów, Zimę Miejską i rozprawę literacką: „Uwagi nad Jagiellonidą“ Tomaszewskiego, drukowaną w „Pamiętniku Warszawskim“, a zbliżoną w zapatrywaniach do klasyków. Dwie powieści, heroiczna Żywiła i sielankowa Karyla, skreślają ubogiego młodzieńca, kochającego pannę, dla której rodzina żąda innych związków. c) Nieśczęśliwa miłość. Podczas wakacji w r. 1818 pojechał Adam z Zanem do Tuchanowicz, majątności matki swego kolegi Michała Wereszczaki, gdzie poznał i pokochał córkę domu, Marię. Panna była mu wzajemną, ale rodzina nie życzyła sobie związku z nieznanym młodzieńcem, tembardziej, że równocześnie starał się o Marię obywatel ziemski Wawrzyniec Puttkammer. Ukończywszy w r. 1819 uniwersytet, został Mickiewicz wysłany jako nauczyciel do szkoły powiatowej w Kownie. W r. 1821 wyszła Marja za Puttkammera; fakt ten napełnił duszę poety rozpaczą, a zdrowiem zachwiał. Twórczość poetycka natomiast w nim rozwinęła się i już w r. 1822 wyszły 2 tomy jego poezji, zawierające: *Ballady i Romanse*,

Grażynę, Dziadów część II i IV. Utwory te wywarły ogromne wrażenie i dały hasło do walki klasyków z romantykami. Tymczasem Mickiewicz, na własne żądanie uwolniony z zajmowanej posady, podążył do Wilna. W Kownie żegnano go z żalem, a dolinę za miastem, dokąd czynił wycieczki, nazwano później: „Doliną Mickiewicza“. Pobyt Adama w Wilnie trwał niedługo. Na młodzież wileńską spadło prześladowanie Nowosilcowa, a że Mickiewicz jako uczeń należał do Filomatów, osadzono go w więzieniu. Tutaj dokonała się ważna zmiana w jego duszy; żal po dawniej miłości ucichł, ustępując miejsca miłości Ojczyzny. Po śledztwie skazano Mickiewicza wraz z innymi na zesłanie w głąb Rosji, gdzie miał pozostać w służbie rządowej. W dniu 24 października 1824 r. pożegnał poeta Litwę na zawsze. Wywieziony do Petersburga, oczekiwał parę miesięcy dalszego przeznaczenia, a wrażenia swe utrwalił w wierszach: *Droga do Rosji, Przegląd wojska* i innych. W r. 1825 wysłano go do Odessy, nadając posadę profesora w liceum Richlieu'go, a choć się miejsce nie otwierało, dano mu utrzymanie. Poeta, mając czas wolny, związał wiele miłych znajomości. Stąd też odbył z Henrykiem Rzewuskim i jego siostrą Sobańską podróż do Krymu. Owocem pobytu jego w Odessie i tej podróży były *Wiersze miłosne* i *Sonety* (1826). Tymczasem skutkiem jego stosunków z polakami nadszedł rozkaz z Petersburga, przenoszący go do Moskwy (1826). Ludzki i szlachetny gubernator ks. Golicyn przydzielił go do swej kancelarii, zostawiając zresztą swobodę, zaś głośnie sława poety otworzyła dlań salony stołecznego towarzystwa. Przyjaźń serdeczną powzięła dla niego tutaj księżna Zeneida Wołkońska, na której greckie pokoje napisał Mickiewicz osobny wiersz i u której później w Rzymie najchętniej przebywał. W Moskwie pisał on *Konrada Wallenroda*, a wydał ten poemat w Petersburgu (1828) z dedyka-

cją dla cara Mikołaja, aby ułagodzić drażliwą cen-
zurę rosyjską. Z Moskwy przeniósł się Mickiewicz
do Petersburga, przyjmowany z uszanowaniem za-
równo w kołach polskich jak rosyjskich. Ścisłejsze
stosunki łączyły go tutaj z poetą Puszkinem, z do-
mem Marji Szymanowskiej, słynnej pianistki, a naj-
większy wpływ wywarł na niego Oleszkiewicz, ma-
larz o usposobieniu mistycznym, rozbudzając w poe-
cie uczucia religijne. Najznakomitszym utworem
z tego czasu był *Farys*, zaś ślad z pobytu w Peters-
burgu pozostał w wierszach: Pomnik Piotra W., Olesz-
kiewicz, Do Przyjaciół Moskali. Pamiętnym jest rów-
nież obiad, który mu wyprawili polacy w Petersbur-
gu (24. grudnia 1828), gdzie Mickiewicz improwizo-
wał całą tragedję *Samuel Zborowski* (przeszło dwa
tysiące wierszy) z takim uniesieniem, że omdlał.
Z improwizacji tej nie doszło jednak do nas nic.
(1829 — 1832). Pragnąc wyjechać zagranicę, zaczął
Mickiewicz czynić starania o paszport. Prośba, po-
parta przez wpływowe osoby, znalazła u Mikołaja
przychylne przyjęcie. Zezwolenie na wyjazd nadeszło
w samą porę, gdyż władze zaczęły już żałować, że po-
zwoliły na wydanie „Wallenroda“, który wywołał
ogromne wrażenie, a nawet powzięły zamiar aresztowa-
nia poety. Ostrzeżony na czas, odpłynął 15. ma-
ja 1829 do Lubeki. Naprzód udał się do Weimaru
dla zobaczenia Goethego, połączywszy się przedtem
w Karlsbadzie z Odyńcem, który mu towarzyszył od-
tąd w podróży. Goethe przyjął poetę uprzejmie i ser-
decznie. Zwiedziwszy okolice Renu, skierował się Míc-
kiewicz do Szwajcarji, wierszem *Na Alpach w Splü-
gen* żegnając dawną kochankę. Przy końcu września
1829 r. wyjechał do Włoch, naprzód do Wenecji, na
zimę zamieszkał w Rzymie. We Włoszech pisał wo-
góle mało, zajęty zwiedzaniem osobliwości, a w Rzy-
mie, będąc wszędzie pożądanym gościem, szczególnie
zaś u księżnej Wołkońskiej. Najmilszym atoli był mu

gościnny dom hr. Ankwiczków, których córka Henryka zajęła się poetą nie bez wzajemności. Duma, poety i niechęć ojca stanęły jednak na przeszkodzie tej skłonności. Według Odyńca, ma być stolnik Horeszko wspomnieniem Ankwicza, a Ewa z 3-ej części „Dziadów“ wspomnieniem Henryki. Z pobytu w Rzymie wszakże najważniejszym był zwrot religijny, dokonany w przekonaniach Mickiewicza pod wpływem miejsca i katolickiego otoczenia. W lecie 1830 bawił Mickiewicz z Odyńcem w Szwajcarii i zapoznał się przypadkowo w Genewie z Zym. Krasińskim. Odyniec pożegnawszy się, wyjechał do Paryża, zaś Mickiewicz wrócił na zimę do Rzymu. Tutaj w listopadzie napisał wiersz *Do Matki Polki*. Na wieść o powstaniu listopadowem chciał wrócić do kraju, ale że pożyczone pieniądze odesłał mu Stefan Garczyński zbyt późno, przybył dopiero w r. 1831 do Wielkopolski, gdzie nie mogąc przejść pilnie strzeżonej granicy, doczekał się wzięcia Warszawy. Nie mając poco wracać do kraju, poszedł na emigrację. W r. 1832 pśpieszył naprzód do Drezna, gdzie napisał 3. część *Dziadów*, poczem zamieszkał stale w Paryżu. Tutaj nie ustawał w pracy, pisząc znowu biblijną prozą *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* (1832), zaznaczające podniosłe stanowisko narodu polskiego w dziejach i wysokie powołanie emigracji. Otoczywszy się wybranem gronem towarzyszy, jak Bohdanem Zaleskim, Ign. Domeyką, Stefanem Witwickim, zabrał się teraz Mickiewicz do urzeczywistnienia myśli, powziętej jeszcze w r. 1832, a mianowicie do pisania *Pana Tadeusza*, zrazu myśląc tylko o skromnej sielance, ale w miarę pisania rozszerzając swój poemat. Rok 1833 był dla niego bolesną datą, gdyż w nim stracił najlepszego przyjaciela, poetę Stefana Garczyńskiego, który umarł na suchoty w Awinionie na rękach jego i przyjaciółki obydwóch, Klaudji Potockiej. Po tej stracie opanował Mickiewicza głęboki smutek, za-

mierzał nawet opuścić Europę. Wtedy to przyjaciele ściągnęli go do Paryża i w szczęśliwej chwili skłonili do ożenienia się z panną Celiną Szymanowską, córką wspomnianej pianistki Marji. „Pan Tadeusz“, wydany w r. 1834, był ostatniem słowem poezji Mickiewicza. Potem tłómaczył tylko Giaura z Byrona i napisał dla celów politycznych po francusku dramat, Konfederatów, który zaginął. Tylko dwa akty odnalezione przetłómaczył Olizarowski wierszem. Smutne wypadki krajowe, które odwróciły Mickiewicza od poezji, sprawiły również, że myślał o utworzeniu z łona emigracji zakonu, dając w ten sposób duchowy początek zakonowi Zmartwychwstańców. Po ożenieniu nadszedł dla Mickiewicza, skutkiem niedobrego zdrowia żony, czas kłopotów finansowych. Dlatego też chętnie przyjął katedrę literatury łacińskiej przy akademji w Lausanne w Szwajcarji i rozpoczął po raz wtóry w r. 1839 zawód nauczycielski. Czekąło go jednak na tem polu daleko ważniejsze stanowisko. Za staraniem ks. Czartoryskiego rząd francuski postanowił otworzyć katedrę literatur słowiańskich w Collège de France, a na miejsce to powołać najgenialniejszego człowieka z całego plemienia. Mickiewicz po dłuższem wahanju katedrę przyjął i rozpoczął wykłady 23. grudnia 1840. Prelekcje te mówił z pamięci, stenografowano je, a następnie Feliks Wrotnowski tłómaczył na język polski. Jego znakomity *Kurs literatury słowiańskiej* dawał — o ile się odnosił do literatury polskiej — całkowity jej obraz w genialnej charakterystyce epok i pisarzy. Również bezstronnie i sumiennie traktował literatury innych ludów słowiańskich. Dwa kursa przeszły szczęśliwie, budząc powszechne zajęcie, przy zawsze pełnej sali. W 3 kursie charakter tych wykładów zmienił się niekorzystnie i wyrodził na wygłaszanie dziwacznej nauki (messjanizmu) Andrzeja Towiańskiego, którego stał się gorącym wielbicielem. Andrzej Towiań-

ski, uważający się za człowieka zesłanego przez Boga dla udoskonalenia chrześcijaństwa, przybył na próżno po drodze usiłując pozyskać dla swej nauki arcybiskupa Dunina i gen. Skrzyneckiego w Brukseli, z Wilna do Paryża w lipcu 1841 r. Mickiewicz skłonny przez całe życie do mistycyzmu (w Petersburgu wpływ Oleszkiewicza, w Rzymie wielka pobożność, po r. 1831 wiara niezachwiana w sprawiedliwość Boską), a rozdrażniony skutkiem coraz przykrejszych stosunków, uwierzył Towiańskiemu, gdy ten, działając na jego wyobraźnię, zapowiedział spełnienie wszystkich jego marzeń, obiecywał cud, a wreszcie silnem wstrząśnieniem nerwów przywrócił zdrowie jego żonie. Jakkolwiek zwrot ten u Mickiewicza był psychologicznie naturalny, pociągnął jednak za sobą złe skutki: a) Towiański i jego zwolennicy głosili, że ich nauka jest prawdziwą, choć kościół uznał ją za herezję, a tem samem i Adam stawał się gorszącym przykładem. b) Zamiast tworzyć i pisać, tracił Mickiewicz czas na szerzenie błędnej nauki z katedry profesorskiej. c) Towianizm sprowadził wreszcie w emigracji rozdzielenie, odstręczając od Mickiewicza takich przyjaciół, jak: Stefan Witwicki, Bohdan Zaleski i Domeyko. Gdy czwarty kurs wykładów został już zupełnie poświęcony nauce messjanizmu, rząd widział się zmuszonym odjąć katedrę Mickiewiczowi, zostawiając jednak połowę płacy. Stało się to w r. 1844. Mickiewicz nie przestał jednak pracować dla dobra sprawy, dopiero później jakieś nieporozumienie oziębilo między nim a Towiańskim stosunki. Ale duch mistycznej egzaltacji nie odstąpił go. W oczekiwaniu jakichś wielkich wypadków udał się Mickiewicz w r. 1848 do Rzymu z zamiarem pojednania się z kościołem, a następnie, gdy zaczęły się wszędzie ruchy rewolucyjne, zaczął formować legion polski, którego był naczelnikiem. W rok potem założył w Paryżu dzien-

nik: „Trybunę ludów“, poświęcony sprawie wolności narodów. Wybór Ludwika Bonapartego na prezydenta francuskiego napełnił go nową otuchą, a wiary w nowego cesarza nie osłabiło ani zamknięcie dziennika, ani odjęcie stanowcze pensji. W r. 1852 otrzymał nader skromną posadę bibliotekarza arsenału. Tegoż roku zanosło się na wojnę, w której Mickiewicz widział spełnienie marzeń całego życia. Gdy flota sprzymierzona zdobyła rosyjską twierdzę Bomarsund na wyspie Alland, napisał po łacinie na cześć Napoleona III ostatni wiersz w swem życiu, *Ode in Bomarsundum captum*. Wypracował również memoriał o utworzeniu legionu polskiego na wschodzie, otrzymał zasiłek rządu i udał się do Konstantynopola. Dnia 26 listopada r. 1855 zapadł nagle na grasującą cholere i tegoż dnia o godz. 9 wieczorem rozstał się z życiem przytomnie, opatrzony św. Sakramentami. Zabalsamowane zwłoki przewieziono do Paryża 21 stycznia 1856 i pochowano na cmentarzu Montmorency obok żony. Za inicjatywą młodzieży krakowskiej sprowadzono 4 lipca r. 1890 zwłoki poety do Krakowa i pochowano w oddzielnej krypcie pod kościołem katedralnym na Wawelu.

BALLADY I ROMANSE*)

*) *Ballady i Romanse, Grażyna i Dziadów część II i IV* wyszły w r. 1822. Wywarły ogromne wrażenie i dały hasło do walki klasyków z romantykami.

PIERWIOSNEK *).

(*Primula veris*).

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,
Błysnął ze złotych obsłonek.

Ja.

Zawcześniej, kwiatku, zawcześniej!
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek
Nim cię zgubi sronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perełka.

Kwiatek.

Dni nasze, jak dni motylka:
Życiem wschód, śmiercią południe;

*) Wyraża myśl przedwczesnego powstania romantyzmu u nas.

Lepsza w kwietniu jedna chwilka
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku!
Wianek to będzie nad wianki.

Ja.

W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzeńki,
Ni zawoje tulipana,
Ni lilijowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz skądże ufności tyle?
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

Kwiatek.

Powitają przyjaciele
Mnie, wiosny młodej aniołka;
Przyjaźń ma blasku niewiele
I cień lubi, jak me ziółka.

Czym kochanki godzien rączek?
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą — ach, łzę tylko.

ROMANTYCZNOŚĆ *).

Me thinks, I see...

— Where?

In my mind's eye.

Shakespeare.

Zdaje mi się, że widzę... Gdzie?
Przed oczyma duszy mojej.

— „Słuchaj, dziewczeczko!”

Ona nie słucha.

— „To dzień biały! to miasteczko!

Przy tobie niema żywego ducha!

Co tam wkoło siebie chwytasz?

Kogo wołasz, z kim się witasz?

Ona nie słucha.

To, jak martwa opoka,

Nie zwróci w stronę oka,

To strzela wkoło oczyma,

To się łzami zaleje,

Coś niby chwytą, coś niby trzyma,

Rozpłacze się i zaśmieje.

„Tyżes to, w nocy? To ty, Jasieńku!

Ach! i po śmierci kocha!

Tutaj, tutaj! Pomaleńku!

Czasem usłyszysz macocha!

„Niech sobie słyszy — już niema ciebie!

Już po twoim pogrzebie!

Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!

Czego się boję mego Jasieńka?

Ach, to on! lica twoje, oczki twoje!

Twoja biała sukienka!

*) Jeden z najbardziej charakterystycznych utworów romantycznych.

„I sam ty biały, jak chusta,
Zimny — jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mnie, do ust usta!

Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak dwa, lata!
Weź mię, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata!

Źle mi w złych ludzi tłumie;
Płaczę, a oni szydzą;
Mówię — nikt nie rozumie!
Widzę — oni nie widzą.

„Śród dnia przyjdź kiedy! To może we śnie.
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie mój Jasieńku!
Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!

„Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku,
Gdzie znikłeś! ach! stój, Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa!“

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada...
Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludzi gromada.

„Mówcie pacierze! — krzyczy prostota,
Tu jego dusza być musi.
Jasio być musi przy swej Karusi,
On ją kochał za żywota!“

I ja to słyszę i ja tak wierzę,
Płaczę, i mówię pacierze.

„Słuchaj, dziewczeczko!“ — krzyknie śród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła;
— „Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła!

„Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
W głupstwa wywarzone kuźni,
Dziewczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni“.

„Dziewczyna czuje, — odpowiadam skromnie
A gawieź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Nż mędrca szkiełko i oko.

„Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskerce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w sercel“

ŚWITEŻ *).

Ballada.

(Do Michała Wereszczaki).

Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkości w kształcie obwodu,

*) Odzwierciadła między innemi osobisty stosunek
poety do Wereszczaków współwłaścicieli Świtezi.

Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina;

Czy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokrega,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi,
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą!
Drzę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz wśród wody gwar, jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących, i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt, i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza.
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewię żałośnie modły.

Co to ma znaczyć? Różni różnie plotą,
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Byli Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskim robić mieście
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód głęboko stóp dwieście,
Budują czołna i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkim dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyna;
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Staął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił;
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się; pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie z cicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciagną ostatek więcierzy:
Powiemże, jakie złowiono straszdyło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszdyło wcale;
Żywa kobieta w niewodzie!

Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży, a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści;
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

„I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wrazbyście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie,

„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

„Na miejscach, które dziś piaskiem zanosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

„Świtez, i w sławne orężem ramiona,
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

„Nie ćmił widoku ten ostęp ponury,
Przez żyzne wskroś okolice
Widać stąd było Nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

„Raz, niespodzianie, obległ tam Mendoga
Potężnem wojskiem car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

„Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:

„Tuhanie! W tobie obrona stolicy,
Śpiesz, zwołaj twe towarzysze!“

„Skoro przeczytał Tuhana list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Stańło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

„Uderzą w trąby, rusza młódź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec,
Lecz Tuhana stanie, i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

„I mówi do mnie: — „Jaz własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świteż nie ma innych szańców,
Prócz naszych piersi i mieczy.

„Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?“

„Ojciez odpowiem, lękasz się niewczesnie,
Idź, kędy sława cię woła!
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałem jego anioła.

„Okrażył Świteż miecza błyskawicą,
I nakrył złotemi pióry,

I rzekł mi: Póki męża za granicą,
Ja bronię żony i córę“.

„Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni:
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słysząc gwar zdala, szczęk i tętent koni
I zewsząd straszny wrzask: „ura!“

„Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegną na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę!
Tuż, tuż, za nami Ruś wali!
Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali“.

„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecz bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznemi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!...“
Broniłam, lecz próżny opór;
Kłęczą, na progach wyciągają szyję,
A drugie przynoszą topór.

„Gotowa zbrodnia. — Czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytepić się mordy?
„Panie, zawołam, nad Pany!

„Jeśli nie mogę ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagam u Ciebie!
Niechaj nas lepiej Twój piorun wystrzela
Lub żywych ziemia pogrzebie!“

„Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną;
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi niema podemną!

„Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi.
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

„Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

„Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie;
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

„Doświadczył tego car i ruska zgraja,
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalowy umaja,
Ten wianki na skronie plecie.

„Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie
I śmierć gwałtowna ugadza.

„Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci
I kwiaty nazywa c a r y “.

To mówiąc, pani zwolna się oddala;
Topią się statki i sieci,

Szum słyhać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła, i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słyhać o niej.

TRZECH BUDRYSÓW *).

Ballada litewska.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

„Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A książd Kiejstut napadnie Teutony.

„Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

„Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu:
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dziengi, jak lodu.

„Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi
Nechaj tępi Krzyżaki psubraty;

*) Charakteryzuje usposobienia litwinów w stosunku do polaków.

Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

„Za Skirgełłem niech trzeci poza Niemen przeleci;
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze
I mnie stamtąd przywiezie synowę.

„Bo nad wszystkich ziem branki, milsze Laszki ko-
l^o Kochanki,

Wesolutkie, jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieką,
Oczy błyszczą się, jak dwie gwiazdeczki.

„Stamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym
człowiekiem,

Laszkę sobie przywiozłem za żonę,
A, choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę“.

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę,
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema;
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Ej, to kubeł, w tym kubie nowogrodzkie są ruble?“
— „Nie mój ojcie, to Laszka synowa!“

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec mój synu, wieszysz kubeł bursztynu?“
— „Nie, mój ojcie, to Laszka synowa“.

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci;
Burka pełna, zdobyczy tam wiele.
Lecz nim zdobyć pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

SONETY*)

*) *Sonety i wiersze miłosne powstały w okresie pobytu Mickiewicza w Rosji, dokąd go zesłał rząd rosyjski za patriotyczną działalność. W tymże czasie powstał również znany poemat „Farys“, którego zasadniczą myślą jest, że człowiek, zmierzający ku wzniosłym celom, powinien energją i silną wolą zwalczać wszelkie przeszkody.*

RANEK I WIECZÓR.

Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych
[wianku,
A na zachodzie księżyc blade lice mroczy,
Róża za słońcem pączki rozwinięte toczy,
Fiołek klęczy zgięty pod kroplami ranku.

Laura błysnęła w oknie. Ukłękłem na ganku;
Ona, muskając sploty swych złotych warkoczy:
„Czemu, rzekła, tak rano smutne macie oczy,
I miesiąc i fiołek, i ty mój kochanku?“

W wieczór przyszedłem nowym bawić się widokiem:
Wraca księżyc, twarz jego pełna i rumiana,
Fiołek podniósł listki orzeźwione mrokiem;

Znowu stanęła w oknie moja ukochana,
W piękniejszym jeszcze stroju i z weselszym okiem;
Znowu u nóg jej klęczę — tak smutny jak zrana.

1825.

DO NIEMNA.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie;
Tu obraz jej, malowny w srebrnej fali łonie,
Łzami nieraz maciłem, zapaleniec młody.

Niemnie, domowa rzeko! Gdzież są tamte zdroje,
A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Gdzie miłsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? Gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło!... A czemuż nie przejdą łzy moje!
1825.

STRZELEC.

Widziałem, jak dzień cały, pośród letniej spieki,
Błakał się strzelec młody. Stał nad strumieniem,
Długo poglądał wkoło i rzecze z westchnieniem:
„Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki;

„Chcę widzieć niewidziany“. Wtem leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Dyany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem;
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał, i oczy Kaime
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał,
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i żżyma,

Odszedł nieco, jakoby swej myśli zaniechał.
Wtem dojrzał mgłę kurzawy; wzniesioną broń trzyma,
Bierze na cel, mgła bliżej — lecz nikt nie nadjechał.
1825.

EXKUZA. *)

Nuciłem o miłośkach w rówienników tłumie;
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
„Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje, lub śpiewać nie umie.

W dojrzałe wchodząc lata, przy starszym rozumie,
Czemu serce płomykiem tak dziecinny pali?
Czyliż mu na to wieszcz głos bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdej nucił dumie?“

Wielkomyślna przestroga! Wnet z górnemi duchy
Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna
Ledwie zaczął przegrywać — aż cała drużyna

Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy...
Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy:
Taki wieszcz jaki słuchacz. Lecz przyjdzie godzina!
1825.

*) Tak samo, jak w Sonetach Krymskich, i w powyżej podanych, obok świetnej formy widzimy obrazowość i wiele szczerzego uczucia.

SONETY KRYMSKIE *)

*) *Sonety Krymskie*, łącząc piękne opisy przyrody z głęboką uczuciowością, uderzającą nieraz w ton tęsknoty za Ojczyzną, odznaczają się najklasycystniejszą formą. Niektóre z nich nasuwają poecie wiele refleksyj nad życiem i człowiekiem.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi:
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu.
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrenka wschodzi...
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy!... Jak cicho!... Słyszę ciągnące zórawie,
Którychby nie dościgły żrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską pierśią dotyka się zioła...
W takiej ciszy — tak ucho nateżam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy, nikt nie woła!
1825.

CISZA MORSKA.

NA WYSOKOŚCI TARKANKUT.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda:

Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich: okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytehnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjatek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiętek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy, —
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony...
1825.

BURZA.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki, —
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmetu,
Wstąpił genjusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci lecą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęciach przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślał: „Szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać!...“
1825.

CZATYRDAH.

Mirza.

Drżąc, muslimin całuje stopy twej opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór padyszahu!
Ty, nad skały poziomemu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel pilnujący edeńskiego gmachu,
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu
Twój turban z chmur haftują, błyskawic potoki.

Nam, czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy gjaur pali domy,
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Miedzy światem a niebem jak drogman stworzenia.
Podesławszy pod nogi ziemie, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.
1825.

PIELGRZYM.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice:
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i — niestety! — jeszcze dalsze czasy?

Litwo! Piały mi wdzięczniej tve szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice;
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki, tak różna wabi mię ponęta!...
Dlaczegoż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona, w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?...
1825.

WERSZE RÓŻNE

ODA DO MŁODOŚCI. *)

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy!
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajska dziedzinę ułudy;
Kędy zapal tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła.

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakresła oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

Patrz na dół — kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar, gnuśności zalany odmětem:
To ziemia!
Patrz, jak nad jej wody trupie

*) Oda do młodości powstała w okresie wileńskim, pomiędzy rokiem 1815 — 24.

Wzbił się jakiś płaz w skorupie:
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem!...
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali:
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali...
A w tem, jak bańka, prysnął o szmat głazu.
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! Tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dziele:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nieć powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!...
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległ ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!...
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dziekiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze,
Ten, młody, zdusi Centaury;
Piekle ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!

Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej z posad bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż spleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy
Sklóconych żywiołów waśnią,
Jednem „Stań się“ z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia!

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie;
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

Pryskają nieczule lody
I przesady, światło ćmiące;
Witaj, jutrzeńko swobody!
Zbawienia za tobą słońce!

PIEŚŃ FILARETÓW. *)

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz:
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

*) Pieśń tę zaliczyć należy również do okresu wileńskiego.

Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega wkoło;
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil.

Poco tu obce mowy?
Polski pijemy miód:
Lepszy śpiew narodowy
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Włazłeś, nie żebyś gnił;
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

Ot, tam siedzą prawnicy, —
I dla nich puhar staw:
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt;
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam bracia cyt, tam cyt!

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas:
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Ten się śród mędrców liczy,
Zna chemią, ma gust.
Kto pierwiastek słodczy
Z łubych wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,

Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stop.

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtonska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: Dość!

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył:
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!...

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem — uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch!

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadnięm toń;
To oko zamknie Feli,
To filarecka dłoń.

DO MATKI POLKI. *)

(Wiersz pisany w roku 1830).

O matko Polko! Gdy u syna twego
W żrenicach błyszczy genjuszu świetność;

*) Utwór ten napisał poeta w r. 1830 w Rzymie, podkreślając obowiązki kobiety — Polki względem jej pokolenia.

Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność;

Jeśli, rzuciwszy rówienników grono,
Do starca bieży, co mu dumy pieje;
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje:

O matko Polko! źle się syn twój bawi...
Klęknij przed Matki Bolesnej obrazem,
I na miecz patrzaj co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przeszyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzają rządy, ludy, zdania:
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa bez zmartwychpowstania.

Każ że mu wcześniej w jaskinię samotną
Iść na dumanie... zalegać rohoże
Oddychać parą zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łożę!

Tam się nauczy pod ziemią kryć z gniewem
I być, jak otchłań, w myśli niedościgły;
Mową truć zcicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną, jako wąż wystygły...

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił:
O matko Polko! jabym twoje dziecię
Przyszłemi jego zabawkami bawił.

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza...

Bo on nie pójzie, jak dawni rycerze,
Utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie,
Albo, jak świata nowego żołnierze,
Na wolność orać... krwią polewać ziemię.

Wyzwanie przyszłe mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysięzny;
A płacem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwycięzonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, noce rodaków rozmowy...

REDUTA ORDONA.

(Opowiadanie adjutanta z czasów oblężenia Warszawy
w r. 1831).

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo
I spojrziałem na pole — dwieście armat grzmiało!
Artylerji ruskiej ciągną się szeregi
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi.
I widziałem ich wodza: — przybiegł, mieczem skinął,
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ścieśniona piechota
Długą, czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnatów. Jak sępy
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.
Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz bodzący morze, reduta Ordona.
Sześć tylko miała armat. Wciąż dymią i świecą!
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpacz,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

Patrz, tam granat w sam środek kolumny się nurza,
Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza;
Pęka wśród dymu granat, szyk pod niebo leci
I ogromna łysina wśród kolumny świeci.
Tam, kula, lecąc zdala, grozi, szumi, wyje,
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje —
Już dopadła; jak boa wśród kolumn się zwija,
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słysząc po dźwięku,
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku:
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
Nie! On siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
Król wielki, samowładnik świata półowicy.
Zmarszczył brwi: i tysiące kibitek wnet leci;
Podpisał: tysiące matek oplakuje dzieci;
Skiął: podają knuty od Niemna do Chiwy.
Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy!
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże:
Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę, i koronę ściąga;
Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy:
Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowy!

Car dziwi się: ze strachu drżą Petersburczany,
Car gniewa się: ze strachu mrą jego dworzany;
Ale sypią się wojska, których Bóg i wiara
Jest car. Car gniewny: umrzem, rozweselim cara!
Posłany wódz kaukazki z siłami pół świata,
Wierny, czynny i sprawny, jak knut w rękę kata.

Ura! ура! Patrz. Blisko reduty, już w rowy
Wala się, na faszynę kładąc swe tułowy;

Już czernią się na białych palisadach wałów.
Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów,
Czerwieni się nad czernią: jak w środek mrowiska
Wrzucony motyl błyska; mrowie go naciska. —
Zgasł: tak zgasła reduta... Czyż ostatnie działo,
Strącone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapął krwią ostatni bombardjer zalał?...
Zgasnął ogień. Już Moskal rogatki wywalał.

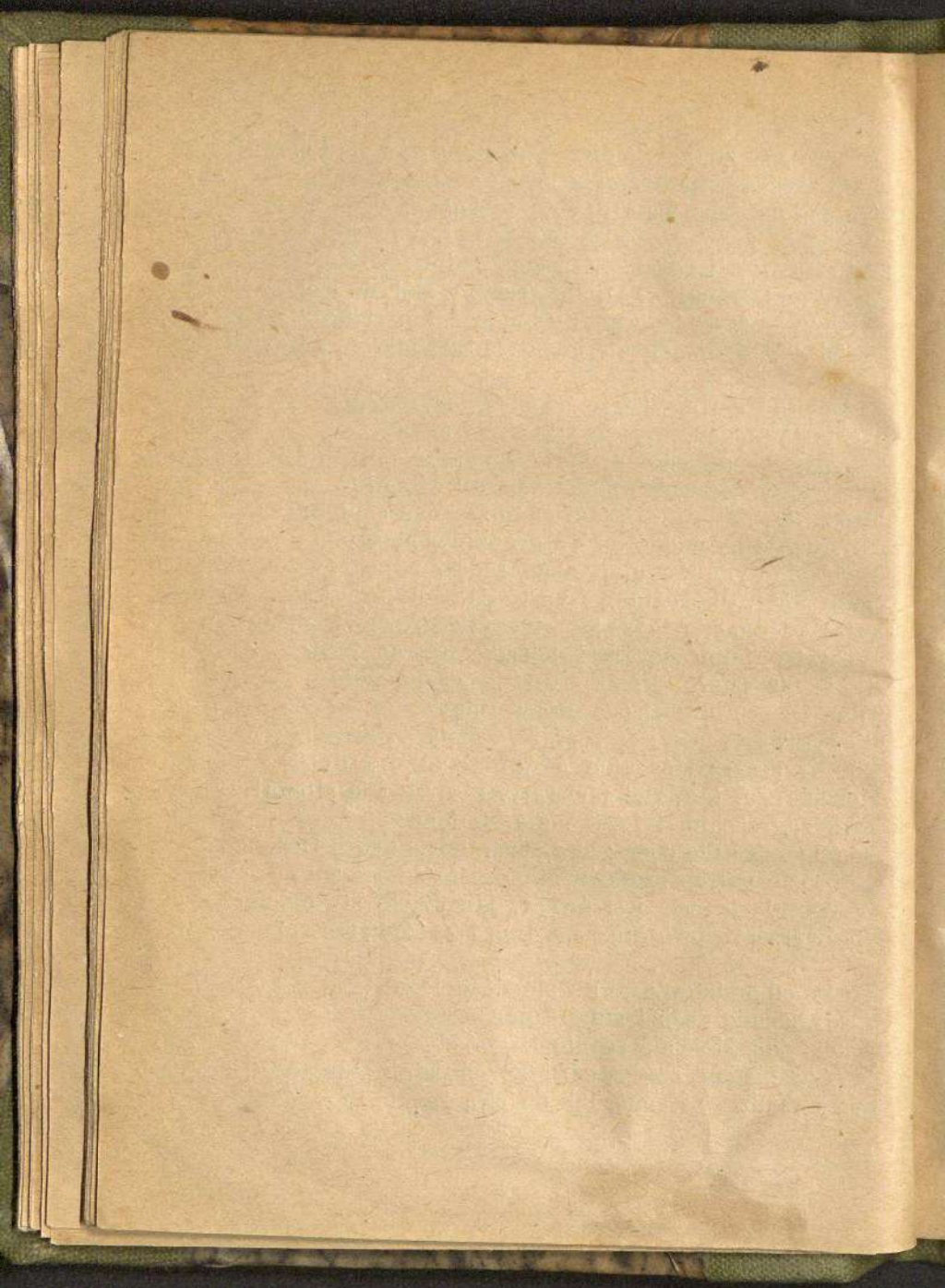
Gdzież ręczna broń?... Ach, dzisiaj pracowała więcej
Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej!
Zgadłem, dlaczego milczy, — bo nieraz widziałem
Garstkę naszych, walczącą z Moskali nawałem.
Gdy godzinę wołano dwa słowa: pal, nabij;
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność;
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci,
Żołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
Szukała, nie znalazła — i żołnierz pobladnął!...
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władał,
I uczuł, że go pali strzelba rozogniona;
Upuścił ją i upadł; nim dobija, skona!...
Takem myślił; a w szaniec nieprzyjaciół kupa
Już lazała, jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach; a gdym łyż ocierał,
Słyszałem, że coś do mnie mówił mój generał.
On przez lunetę, wspartą na mojem ramieniu,
Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu.
Nakoniec rzekł: „Stracona“. Z pod lunety jego
Wymknęło się kilka; rzekł do mnie: „Kolego,
Wzrok młody od szkielec lepszy; patrzaj, tam na wale,
Znasz Ordona, czy widzisz gdzie jest?“ „Jenerale,
Czy go znam?... Tam stał zawsze, to działo kierował.

Nie widzę... znajdę... dojrzę... wśród dymu się schował:
Lecz wśród najgęstszych kłębow dymu, ileż razy
Widziałem rękę jego, dającą rozkazy...
Widzę go znowu... widzę rękę — błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
Biorą go... zginął!... O nie! Skoczył w dół, do lochów...“
„Dobrze, rzeczy generał, nie odda im prochów“.
Tu blask... dym... chwila cicho... i huk jak stu gromów!

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów:
Harmaty podskoczyły i, jak wystrzelone,
Toczyły się na kołach; lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam, i w gęstej chmurze nas ochłoniął.
I nie było nic widać, prócz granatów blasku —
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
Spojrzałem na redutę... Wały, palisady,
Działa, i naszych garstka i wrogów gromady —
Wszystko jako sen znikło! Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży — rozjemcza mogiła:
Tam, i ci co bronili i ci co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczerzy i wieczny zawarli.
Choćby cesarz Moskalom kazał wstać: już dusza
Moskiewska, tam raz pierwszy, cesarza nie słusza!
Tam zagrzebane tyluset ciał, imiona;
Dusze gdzie? nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza Ordona.
On będzie patron szanów! Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło stworzenia:
Bóg wyrzekł słowo *Stać się*, Bóg i *Zginąć* wyrzecze!

Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona —
Karząc plemię zwycięzców, zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.



GRAŻYNA*)

POWIEŚĆ LITEWSKA

(wyjutki)

*) „Grażyna“ powstała z końcem r. 1821, a ukończona została w r. 1822. Motywem głównym, poruszającym całą akcję, w tej powieści jest uczucie, miłość bohaterki do ojczyzny i do męża. Pomimo formy klasycznej, powieść ta wiele posiada cech romantycznych! Indywidualność i wyrazistość osób, mocny ton uczuciowy, bogata obrazowość, świetny język, budowa jasna i prosta — czynią z „Grażyny“ wzorową powieść poetyczną.

GRAŻYNA.

(Bitwa).

Jest od przykopów miejskich tak daleka,
Jako niemieckiej broni grzmot doniesie,
Mała, zaledwie znana komu rzeka,
Wąskim korytem błędząca po lesie;
Ku dredze jednak coraz szerzej ścieka,
Gubiąc się w wielkim jeziora okresie;
Puszcza okrywa z boków jej zwierciadła,
A z przodu góra wyniosła usiadła.

Tam, gdy litewskie wymknęły się rotę,
Ujrzą wśród góry przy blasku księżyca
Zbroje, chorągwie, szyszaki i groty.
Błysnęło, zagrzmi na hasło rusznica;
Sypią się męże, ściskają się rotę,
Murem krzyżacka stanęła konnica.

Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie
Na czole Ponar zasadzone bory,
Gdy z nich oskubie wicher szaty letnie,
A rosa, jasne wieszając bisiory,
Nagle się mrozem w szron perłowy zetnie:
Błędnym przechodniom zdają się u wniścia
Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.

Ten widok gniewy w książęciu dopuszcza.
Skoczył z wyniosłem nad głową żelazem,
Wali się zbrojna w ślady jego tłuszczu,
Ale się wodze dziwią, że tym razem
Wojsko bez sprawy ładajako puszcza;
Ani ich zwykłym ostrzeże rozkazem,
Kędy sam myśli na czele ugodzić,
A jakie skrzydła odda im przywodzić,

Więc Rymwid pańską zastępując wolę,
Obiega hufy, szykuje śród drogi;
Wkłęśle ku górze ściskając półkole,
Pancernych w środek, łuczników na rogi:
Tak zawsze Litwa zwykła stawiać pole.
Dał hasło: chylą majdany *) do nogi,

Warknęły struny, świsnęła strzał chmura,
„Jezus, Maryja! naprzód, hop, hop, ura!“

Dopieroż, drzewca ułożywszy w toku,
Zerwą się bliżej, pierś na pierś uderzy...
Zacóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięstwa i klęski rycerzy?
Swoi i cudzy zmieszani w natłoku:
Zawszą szcęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzy,
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy,
Co miecz oszczędza, druzgoczą podkowry.

Książę, jak skoczył, tak goni na czele,
Ani się jeden między tłumem boi.
Znają czerwony płaszcz nieprzyjaciele,
Poznali godła na hełmie i zbroi;
Cofa się, walcząc, nieśmiała gromada,
Zwycięzca pędzi i na karki wsiada.

*) Majdan, część ta łuku, za którą się ręką łuk trzyma.

Lecz któryż z bogów siłę w nim osłabił?
Cóż stąd, że zbiegłych natarczywie goni?
Cóż stąd, że bije? — Nikogo nie zabił.
Bezwładna szabla po pancerzach dzwoni,
Albo się zwija, odbita żelazem,
Albo uchybia, albo idzie płazem.

Czując Krzyżacy tak słabe natarcie,
Odzyszczą serce; z okropnym hałasem
Nawrócą czoła, potkną się zażarcie,
I gęstym włóczni otoczą go lasem;
Czy przełękniomy, czy splątany w tłumie,
Brać ich na szable i tarcze nie umie.

Trudno mu było całą unieść szyję,
Krzyżactwo zewsząd kole, strzela, siecze:
Wtem huf litewski nawałę rozbije,
Biorąc go między puklerze i miecze:
Ten słabe razy swojemi poprawia,
A ten od cudzych razów go zastawia.

Już noc pierzchała, już różane włosy
Zorza na wschodnim roztacza obłoku,
Bitwa wre dotąd, ślepe lecą ciosy,
Ni w tył, ni naprzód nie ruszono kroku;
A bóg zwycięstwa, przyszłe wając losy,
Równy krwi ciężar stąd i zowąd bierze,
I szala dotąd w równej stoi mierze.

Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzyma, *)
Wkoło go mokrem ramieniem obchodzi,
Dnem podkopyje, pierś górą wydyma;
Ten, natarczywej broniąc się powodzi,

*) Niedaleko miasteczka Rumszyszek jest największa rapa (próg skalisty) w Niemnie, żegludze niebezpieczna, zwana „Olbrzym“.

Na twardych barkach gwałt jej dotąd trzyma,
Ani się zruszy skała, w piasek wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta.

Krzyżactwo, długiej niecierpliwe bitwy,
Na wierzchu góry stojący odwodem,
Ostatni hufiec pędzą w środek Litwy:
Komtur ich wiedzie, sam uderza przodem;
A zmordowanych długimi gonitwy,
Gdy naparł świeżym i dzielnym narodem,
Łamiał się szyki, krzyżactwo zwycięża.
Wtem z góry zagrzmiął straszliwy głos męża.

Ku niemu wszystkich podnoszą się oczy,
Stoi na koniu: a jako rozwiodła
Szeroko cienie sterzczących warkoczy
Na śnieżnej górze wybijała jodła,
Tak go szeroki płaszcz dokoła mroczy:
Czarny płaszcz, czarny koń i hełm i godła.
Trzykroć zawołał, zleciał nakszałt gromu,
Nie wiedzieć za kim, albo przeciw komu.

Dobiega Niemców, między tłumem tonie.
Bitwy nie ujrzysz; ale zgiełk i jęki
Dają odgadnąć, w jakiej walka stronie
I jak straszliwy piorun jego ręki.
Tam szyszak zniknie, ówdzie sztandar padnie;
Tłoczy się hufiec, miesza się bezładnie.

Jako leśnicy, gdy sosny lub dęby
Sieką wśród puszczy, słychać łoskot w dali;
Jęczą topory, chrobocą pił zęby,
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali;
Nakoniec, między wyciętymi zręby
Ujrzysz i mężów i błyskanie stali:
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Darł się ku Litwie rycerz nieznajomy.

Śpieszaj, rycerzu, ożywić duch męski,
Krzepić słabnących, śpieszaj, jeszcze pora!
Litwini bliscy ostatecznej klęski:
Dzid i puklerzów warowna zaporą
Już rozłamana; sam Komtur zwycięski
Po całym polu szuka Litawora;
On się nie kryje — oba konie bodą,
Wkrótce śmiertelny pojedynek zwiodą.

Litawor szablę wynosi do cięcia,
Komtur dał ognia z piorunowej broni.
Zadrzą Litwini, pojrzą na księżęcia:
Niestety, szabla wypadła mu z dłoni,
Cugle z słabego wyciekły ujęcia;
Już pod szyszakiem nie utrzyma skroni,
Spływając z siodła, już się bokiem chyli,
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.

Jęknął mąż czarny; a, jak czarna chmura,
Ryknąwszy, błysnie piorunowym gradem,
Z taką szybkością leci na Komtura:
Zaledwie pierwszym zwarli się napadem,
Pojrzyć, aliści Komtur już pod koniem,
A rycerz bieży i tratuje po nim!

Gdzie obskoczyły księżęcia dworzany
Przybiega, chwyta, rwie pancerza węzły,
Ostrożnie zdziera blach zafarbowany,
Wyśledza postrzał głęboko ugrzęzły.
Wtem krew na nowo wytrysnęła z rany,
Ból zemdlonego do zmysłów przywoła;
Otwiera oczy, spoziera dokoła
I znowu wciska na oczy przyłbicę,
Z gniewem żołnierze i sługi odpycha,
A Rymwidowi ściskając prawicę:
„Już jest po wszystkim, starcze — mówi z cicha:
Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę;

Ratunek próżny, wkrótce umrzeć muszę,
Wiedziecie do zamku, tam wyzionę duszę“.

Rymwid szerokie oczy w nim utopił,
Ledwie śmie wierzyć, od zmysłów odchodzi,
Upuszcza rękę, którą łzami kropił,
Dreszcz kości wstrząsa, pot mu czoło chłodzi,
Teraz poznaje głos nieznany wczora:
Niestety, nie był to głos Litawora!

Tymczasem rycerz upuszczone wodze
Starcowi wręczył, sam do pana skoczył.
Rumaki każe nawrócić ku drodze,
Chwiejącego się ramieniem otoczył,
Składa na piersiach, krew dłonią zaciska;
Dał znak, samotrzeć pędzą z bojowiska.

I zbliżają się pod okopy grodu.
Zaszli im drogę ciekawi mieszkańce;
Ci, bodąc konie, przez tłumy narodu
W milczeniu śpieszą na zamkowe szaniece,
A skoro wpadli, uchylono zwołu.
Rycerz strażnikom przykazuje stogo,
Ni tam ni za się nie puszczać nikogo.

Wnet z resztą hufców ciągną bojownicy,
A choć wygrali tak przeważne pole,
Mała stąd radość była po stolicy;
Ból serca ścisnął, żaloba na czole;
Każdy się pyta troskliwie o pana:
Gdzie jest? czy żyje? jak głęboka rana?

KONRAD WALLENROD *)

(wyjątki)

*) Myśli wybawienia Ojczyzny z ucisku wroga były różne. Nie ulega wątpliwości, że zdrada, jako środek pomszczenia niedoli Ojczyzny, jest zdrożną. Poeta, wprowadzając go w Wallenrodzie, nie miał zamiaru uświęcać go, ani idealizować. Poemat był i jest wyrazem miłości Ojczyzny, podniesionej do najwyższej potęgi. Ponieważ poeta skazał zdrajcę na śmierć samobójczą, stwierdził przez to, że uważa myśl zdrady jako politycznie możliwą, nawet skuteczną, ale etycznie złą. Poemat ten wywołał wiele komentarzy wśród współczesnych. Powieść Wajdeloty odzwierciedla całą myśl utworu.

POWIEŚĆ WAJDELOTY.

Skąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki,
Wieźli łupy bogate w zamkach i cerkwiach zdobyte.
Tłumy brańców niemieckich z powiązanemi rękami,
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach
zwycięzców:

Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,
Poglądają na Kowno i polecają się Bogu!
W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie Peruna:
Tam książęta litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna,
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony;
Oni sami wśród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
Między Litwinów uciekli, książę Kiejstut ich przyjął,
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta, z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli.
„Nie wiem, rzecz młodzienc, jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewola
schwytany.

Pomnę tylko, że kędyś w Litwie wśród miasta wielkiego
Stał dom moich rodziców, było to miasto drewniane
Na pagórkach wyniosłych, dom był z cegły czerwonej.
Wkoło pagórków na błoniach puszcza szumiała

jodłowa,
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.

Razu jednego w nocy wrzask nas ze snu przebudził.
Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby.
Kłęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy

Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem,
Krzyk okropny: „Do broni! Niemcy są w mieście!

Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił. Niemcy wpadli do domu; jeden wypuścił się za mną. Zgonił, porwał mnie na koń; nie wiem, co stało się dalej. Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem.

Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu... Oto wszystko, co z Litwy,
Co od rodziców wywoziłem. W sennych niekiedy
marzeniach

Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano;
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrich, mistrz krzyżacki, chował mię w swoim

Jam się nudził w pałacach, z kolan Winricha uciekał
Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami
Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty.
Służyłem tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie
dowiedział,

Rzeczywista o Litwie, duszę stęsknioną orzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
On mię często ku brzegom Niemna siniego prowadził:
Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste oglądać.

Gdyśmy do zamku wracali, starzec łyzy mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń; łyzy mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek
wróciwszy,

Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty rozkoszą
Rznąłem kobierce Winricha, lub kaleczyłem

zwierciadła,

Na tarcz jego błyszczącą piasek miotalem i plwalem.

Potem, w latach młodzińczych, częstośmy z portu

Kłajpedy

W łódkę ze starcem siadali, brzegi litewskie odwiedzać.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejską ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne

wspomnienia.

Upojony tą wonią, zdało się, że dzieciinniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małymi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniejszymi słowami,
Niżli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile młodości; ileż to dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach

Zakonu.

To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połagi,
Gdzie grzmiącymi piersiami białe roztrąca się morze
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa:
„Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce,
Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pachnące?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie,
Ach! daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni.
Synu, plony wiosenne, żywo do grobu wtrącone,

To są ludy podbite, bracia to nasi, Litwini;
Synu, piaski z za morza burzą pędzone, — to Zakon“.

Serce bolało, słuchając. Chciałem mordować

Krzyżaków,

Albo do Litwy uciekać; starzec hamował zapędy,
„Wolnym rycerzom—powiadał—wolno wybierać oręż
I na polu otwartem bić się równemi siłami;
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność, dalej obaczym co począć“.
Byłem posłuszny starcowi, siedłem z wojskami

Teutonów;

Ale w pierwsej potyczce, ledwiem obaczył

chorągwie,

Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
Poskoczyłem ku naszemu, starca za sobą przywodzę.
Jako sokół, wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogimi mękami łowcy odbiorą mu rozum,
I puszczają, ażeby braci sokołów wojował.

Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł

usłyszysz...

Pójdź myśliwce do domu, z klatką nie czekaj sokoła“.

Skończył młodzieniec, a Kiejstut słuchał ciekawie,

słuchała

Córa Kiejstuta, Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory;
Kiejstutowna, jak zwykle, w siostr i rówiennic orszaku
Za krośnami usiada, albo się bawi przedziwem;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich
I o swojej młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka;
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie powtarza.
Walter mówił, jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,

Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na ginitwach waleczni kopije kruszą rycerze,
A dziewice z kruzganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem,
I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,
Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach:
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego

nauczyć,
Co sam umiał: niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele; z jakim rozkosznem

wzruszeniem
Słyszał z ust jej litewskie już zapomniane wyrazy!
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe
uczucie,

Jako iskra z popiołu: były to słodkie imiona.
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni, i jeszcze
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
Niemasz równego na ziemi, oprócz wyrazu—Ojczyzna.

Skądże, pomyślał Kiejstut, nagła w mej córce
odmiana?

Gdzie jej dawna wesołość, gdzie jej dziecinne
rozrywki?

W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem,
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub
krosną

Jej z rąk igła wypada, nici płatają się w krosnach,
Sama nie widzi co robi, wszyscy mi to powiadają.
Wczora postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jej oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają.
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;

Skąd powraca? z doliny; cóż w tej dolinie?

Młodzieniec

Ogród dla niej zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy,
Niżli me sady zamkowe (pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich ponęta).
Nie ogródek to wabi; zimą widziałem jej okna,
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemnił kryształu;
Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna
I gorącym westchnieniem lody na szybach stopiła.
Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczy,
Słyszac, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli;
Chłopiec dobry, waleczny, jak książd w pismach

ćwiczony,

Mamże go z domu wypędzić? on tak potrzebny dla
Litwy;

Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepsze okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko,
Pójdź, Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę!“

Walter pojął Aldonę. — Niemcy, wy pewnie

myślicie,

Ze tu koniec powieści? W waszych miłosnych

romansach

Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.

Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szlachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było
w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek
(Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie) —

Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonymi tłumami,
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbrój, rżenia
rumaków.

Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega,
Tu i ówdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.
Dzień w dzień od taranów wałą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety.
Pod niebiosami ognistym unosi się bomba polotem,
I jak sokół na ptaki, z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło; Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy dalej ciągną, plondrując i paląc.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni

w odwrocie,

Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywyknał
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać.
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami
walczyli;

Idąc w ślady swych przodków, bił się i nie dbał
o przyszłość.

Inne były Waltera myśli; chowany wśród Niemców,
Znał potęgę Zakonu, wiedział, że mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, oręż i wojska.
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony,
Litwa pierwiej czy później równej ulegnie kolei...
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością
Litwinów.

„Synu, Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem;
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły
I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż pocniemy z Niemcami?“ — „Ojce, Walter
powiadał,

Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny niestety!
Może kiedyś objawie“. Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom
wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno
zmieniony!

Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbyt wesoły,
W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślenia
Lice jego przysłaniał, ale w objęciach Aldony
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne,
Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał
wejrzeniem.

Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść.
Cały ranek przed domem z założonymi rękami
Patrzy na dymy płonących zdała miasteczek i wiosek.
Patrzy dzikimi oczyma; w nocy porywa się ze snu
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.

„Mężu drogi, co tobie?“ — pyta ze łzami Aldona.
„Co mnie? Będę spokojnie drzemał, aż Niemcy
napadną
I sennego związawszy, w ręce katowskie oddadzą?“
„Boże uchowaj, mężu! Straże pilnują okopów“.
„Prawda, strażę pilnują, czuam i szablę mam
w ręku.

Ale kiedy wyginą strażę, wyszczerbi się szablą...
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję?...
„Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek“. — „Wtem
Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego.
Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie wajdelota“. — „Drogi Walterze, ujedźmy
Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od
Niemców“.

„My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim.
Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie dogonił.
Jeśli nas w górach wysłedzi?“ „Znowu dalej
ujedziem“.

„Dalej? dalej? nieszczęsna! Dalej ujedziem, za Litwę?
W ręce Tatarów lub Rusi?“ Na tę odpowiedź Aldona

Pomieszana milczała; jej zdawało się dotąd,
Że ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie było
schronienia.

Załamawszy ręce, pyta Waltera: co począć? —
„Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom:
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj, dla Boga! Stokroć przekłeta godzina,
W której, od wrogów zmuszony, chwycę się tego
sposobu“.

Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą,
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Kłesk i cierpień widokiem, wzdał się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,
Dotąd mu żywot słodzące, nawet uczucie miłości.
Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wznieciwszy, rdzeń głęboko wypala,
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście

powiewne,
Z wiatrem polecą gałęzie, — nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioli.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo,
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza;
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry,
Z wyszczerbionymi szablami, z porąbanymi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spojrział na żonę, słowa do niej nie wyrzekł.
Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki; gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.

Walter patrzył najdłużej z niemej wyrazem rozpacz;
Wtem gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca
I przeproszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
„Biada—mówił—niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli, jak dymy, wiecznie nad dach ulatują,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapęłnić nie może, stają się gniazdem

jaszczurek.

Daruj, luba Aldono! Dzisiaj chcę w domu pozostać,
Dzisiaj o wszystkim zapomnę, dzisiaj będziemy
dla siebie,
Czem bywaliśmy dawniej. Jutro...” — i nie śmiał
dokończyć.

Jaka radość Aldonie! Zrazu myśli nieboga,
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły,
Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,
W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach
szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną

rozmowy,

Pierwszej w dolinę przechadzki, i o wszystkich
dziecinnych,
Ale sercu pamiętnych pierwszej miłości zdarzeniach.
Zacóż tak lube rozmowy słowem „jutro“ przerywa?
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
Łzy mu kręcą się w oczach, chciałby coś wyrzec —
i nie śmie.

Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiętki
Na to tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora

pieszczoty

Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości?...
71

Darmo się pytać. Aldona patrzy, czeka niepewna,
I wyszedłszy z komnaty, jeszcze przez szpary patrzyła:
Walter wino nalewał, mnogie wychylał pułhary,
I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło, tętnią po bruku kopyta,
Dwaj rycerze z tumanem rannym śpieszą w góry.
Wszystkieby strażę zmylili, jednej nie mogli omylić.
Czuje się oczy kochanki, zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie.
„Wróć się, o luba, do domu, wróć się! Ty będziesz
szczęśliwa!

Może będziesz szczęśliwa w lubej rodziny objęciach;
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz!
Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę!
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie!
Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nade mną;
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał,
Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie,
Zdradzać, mordować, i potem ginąć śmiercią haniebną.
Ale po latach ubiegłych imię Alfa nanowo
Zabrzmiał w Litwie, i kiedyś z ust wajdelotów

posłyszysz
Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty,
Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem,
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa“.

Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni
słowa.
„Jedziesz, jedziesz!“ — krzyknęła, i zatrwożyła się
sama

Słowem „jedziesz“, to jedno słowo brzmiało
w jej uchu;
Nic nie myślała, o niczem pomniść nie mogła: jej myśli,
Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko spletało się
tłumnie.

Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać,
Ze niepodobna zapomnieć; oczy zbłąkane toczyła,
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie;
W tem wejrzeniu już dawnej nie znajdowała
pociechy,

I zdawała się szukać czegoś nowego i wkoło
Oglądała się znowu... Wkoło pustynie i lasy,
W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem

wieżyca;
Był to klasztor zakonnic, chrześcijan smutna budowa,
Na tej wieży spoczęły oczy i myśli Aldony,
Jak gołąbek, porwany wiatrem wśród morskiej topieli,
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę, udał się za nią w milczeniu,
Opowiedział swój zamiar, taić przed światem nakazał,
I u bramy — Niestety! straszne to było rozstanie!...

Alf z wajdelotą pojechał, dotąd nic o nich nie słychać.
Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi;
Jeśli, zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony

zatruiwszy...
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...
Przyszłość resztę pokaże.

Niemcy, skończyłem piosenkę.

DZIADY*)

CZĘŚĆ III

(wyjątki)

*) Część III „Dziadów” powstała po przegranej w 1831 r., t. j. w 1832 r. Potężny ten poemat, niwykończony całkowicie, rozpada się na dwie części pisane w różnych epokach życia poety. W części I, II i IV poeta przechodzi od miłości ogólnej do indywidualnej (część IV). Część III powstała znacznie później i wyraża przeistoczenie się ogólnych i czysto osobistych uczuć w uczucia patryjotyczne. Gustaw prze radza się w Konrada. W częściach I, II i IV wiara we wpływ świata niewidzialnego i duchowego na myśli i czyny ludzkie jest główną podstawą poematu bodaj. Uroczystość ludowa, zwana „Dziadami”, wiąże ogół akcji, a tajemnicza osobistość przebiegająca cały dramat, nadaje mu pewną jedność. Ideą zasadniczą III-ej części „Dziadów” jest: nie przez pychę, choć z miłości głębokiej płynącą, dojść możemy do odrodzenia, lecz przez korną wiarę, przez cnoty, przez religijne wzniesienie duszy. W dziejach narodowego ideału ta część „Dziadów” ma wielkie znaczenie.

DZIADY.

P O E M A.

CZEŚĆ TRZECIA.

- A strzeżcie się ludzi, albowiem was będą
wydawać do siedzącej rady, i w boż-
nicach swoich was biczować będą.
- I do Starców i do Królów będziecie wo-
dzeni na świadectwo im poganom.
- I będziecie w nienawiści u wszystkich
dla imienia mego. A kto wytrwa aż
do końca, ten będzie zbawion.

Mat. Ks. 17. 18. 22.

PRZEDMOWA.

Polska od pół wieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego i niezbłaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporczywej wytrwałości, jakich nie było przykładu od czasu prześladowania Chrześcijaństwa. Zdaje się, że królowie mają przeczucie herodowe o zjawieniu się nowego

światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychwstanie.

Dzieje męczeńskiej Polski obejmują wiele pokoleń i niezliczone mnóstwo ofiar; krwawe sceny toczą się po wszystkich stronach ziemi naszej i po obcych krajach. Poema, które dziś ogłaszamy, zawiera kilka drobnych rysów tego ogromnego obrazu, kilka wypadków z czasu prześladowania, podniesionego przez imperatora Aleksandra.

Około roku 1822 polityka imperatora Aleksandra, przeciwna wszelkiej wolności, zaczęła się wyjaśniać, gruntować i pewny brać kierunek. Wtenczas podniesiono na cały naród Polski prześladowanie powszechne, które coraz stawało się gwałtowniejsze i krwawsze. Wystąpił na scenę pamiętny w naszych dziejach senator Nowosilcow. On pierwszy instynktowną i zwierzęcą nienawiść rządu rosyjskiego ku Polakom wyrozumował, jako zbawienną i polityczną, wziął ją za podstawę swoich działań, a za cel położył zniszczenie polskiej narodowości. Wtenczas całą przestrzeń ziemi od Prosny aż do Dniepru i od Galicji do Bałtyckiego morza zamknęto i urządzono jako ogromne więzienie. Całą administrację nakrecono jako jedną wielką Polaków torturę, której koło obracali carewicz Konstanty i senator Nowosilcow. Systematyczny Nowosilcow wziął najprzód na męki dzieci i młodzież, aby nadzieje przyszłych pokoleń w zarodzie samym wytępić. Założył główną kwaterę katorstwa w Wilnie, w stolicy naukowej prowincyj litewsko-ruskich. Były wówczas między młodzieżą uniwersytetu różne towarzystwa literackie, mające na celu utrzymanie języka i narodowości polskiej, Kongresem Wiedeńskim i przywilejami imperatora zestawionej Polakom. Towarzystwa te, widząc wzmagające się podejrzenia rządu, rozwiązały się wprzód jeszcze, nim ukaz zabronił ich bytu. Ale Nowosilcow,

choć w rok po rozwiązaniu się towarzystw przybył do Wilna, udał przed Imperatorem, że je znalazł działające; ich literackie zatrudnienia wystawił jako wyraźny bunt przeciwko rządowi, uwieził kilkaset młodzieży i ustanowił pod swoim wpływem trybunały wojenne na sądzenie studentów. W tajemnej procedurze rosyjskiej oskarżeni nie mają sposobu bronięcia się; bo często nie wiedzą o co ich powołano; bo zeznania nawet, komisja według woli swojej jedne przyjmuje i w raporcie umieszcza, a drugie uchyla. Nowosilcow, z władzą nieograniczoną od carewicza Konstantego zesłany, był oskarżycielem, sędzią i katem. Skasował kilka szkół na Litwie, z nakazem, aby młodzież do nich uczęszczającą uważano za cywilnie umarłą, aby jej do żadnych posług obywatelskich, na żadne urzędy nie przyjmowano, aby jej nie dozwolono ani w publicznych, ani w prywatnych zakładach kończyć nauk. Taki ukaz, zabraniający uczyć się, nie ma przykładu w dziejach i jest oryginalnym, rosyjskim wymysłem. Obok zamknięcia szkół, skazano kilkudziesięciu studentów do min sybirskich, do taczek, do garnizonów azjatyckich: w liczbie ich byli małoletni, należący do znakomitych rodzin litewskich. Dwudziestu kilku, już nauczycieli, już studentów uniwersytetu, wysłano na wieczne wygnanie w głąb Rosji, jako podejrzanych o polską narodowość. Z tylu wygnańców, jednemu tylko dotąd udało się wydobyć z Rosji.

Wszyscy pisarze, którzy uczynili wzmiankę o prześladowaniu ówczesnem Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży; religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów; kara Boża, sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami

zdarzeń; a opisane, zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.

Kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, nic nie dodając i nigdzie nie przesadzając. I pocóżby miał dodawać albo przesadzać? Czy dla ożywienia w sercu rodaków nienawiści ku wrogom? Czy dla obudzenia litości w Europie?... Czemże są wszystkie ówczesne okrucieństwa w porównaniu z tem, co naród polski teraz cierpi i na co Europa teraz obojętnie patrzy? Autor chciał tylko zachować narodowi wierną pamiątkę z historii litewskiej lat kilkunastu; nie potrzebował zohydzać rodakom wrogów, których znają od wieków; a do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską, jak niedołężne niewiasty w Jeruzalem nad Chrystusem, naród nasz przemawiać tylko będzie słowami Zbawiciela: „Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale nad samemi sobą...”

DZIADY

CZĘŚĆ III.

Litwa

PROLOG.

*W Wilnie przy ulicy Ostrobramskiej, w klasztorze
XX. Bazylianów, przerobionym na więzienie stanu.
Cela więźnia.*

(Więzień, wsparty na oknie, śpi).

Anioł-Stróż.

Niedobre, nieczułe dziecię!
Ziemskie matki twej zasługi,
Prośby jej na tamtym świecie
Strzegły długo wiek twój młody
Od pokusy i przygody:
Jako róża, anioł sadów,
We dnie kwitnie, w noc jej wonie
Bronią senne dziecka skronie
Od zarazy i owadów.

Nieraz ja na prośbę matki
I za pozwoleniem Bożem,

Zstępowałem do twojej chatki,
Cichy, w cichej nocy cieniu:
Zstępowałem na promieniu
I stawałem nad twoim łóżem.

Gdy cię noc ukołysała,
Ja nad marzeniem namiętne
Stałem, jako lilja biała,
Schylona nad źródłem mętne.
Nieraz dusza mnie twa zbrzydła!
Alem w złych myśli nacisku
Szukał dobrej, jak w mrowisku
Szukają ziarenek kadzidła.

Ledwie dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę,
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,
I śpiewałem jej piosenkę,
Którą rzadko ziemskie dzieci
Słyszą, rzadko i w uśpieniu,
A zapomną w odecknieniu.
Jam ci przysłał szczęście głosił,
Na moich rękach w niebo nosił:
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jak pijanych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,
Przybierałem wtenczas postać
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać:
Tyś przyjmował chłostę Boga,
Jak dziki męczarnie wroga;
I dusza twoja w niepokoju,
Ale z dumą się budziła:
Jakby w niepamięci zdroju
Przez noc całą męty pila.
I pamiętki wyższych światów

W głąb ciągnąłeś: jak kaskada,
Gdy w podziemną przepaść wpada,
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,
Oblicze tuląc w me dłonie;
Chciałem, i długo nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie,
Bym nie spotkał twojej matki...
Spyta się, jaka nowina
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki,
Jaki sen był mego syna?...

Więzień.

(Budzi się strudzony i patrzy w okno. — Ranek).

Nocy cicha! Gdy wschodzsiz, kto ciebie zapyta
Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta?
„Zaszło słońce!“ — wołają astronomy z wieży:
Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży;
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada,
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali.
Nie dziwi słońca dziwna, lecz codzienna głowa,
Zmienia się blask i ciemność jako straż pułkowa:
Ale gdzież są wodzowie, co jej rozkazali?...

A sen?... Ach, ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,
Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi?
Któż jego miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy?
Trwoży się człowiek śpiący, śmieje się, gdy zbudzi:
Mędrcy mówią, że sen jest tylko przypomnienie...

Mędrcy przekłęci!

Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?
Chyba mnie wmówią, że moje więzienie
Jest tylko wspomnienie!...

Mówią, że senne czucie rozkoszy i kaźni:
Jest tylko grą wyobraźni;
Głupi, zaledwie z wieści wyobraźnię znają,
I nam, wieszczom, o niej bają!
Byłem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie,
I wiem, że leży za jej granicą — marzenie.
Prędzej dzień będzie nocą, rozkosz będzie kaźnią,
Niż sen będzie pamięcią, mara — wyobraźnią.

(Kładzie się i wstaje znowu; idzie do okna).

Nie mogę spocząć: te sny to straszą, to łudzą;
Jak te sny mię trudzą!
(Drzemie).

Duchy nocne.

Puch czarny, puch miękki pod głowę podłożmy;
Śpiewajmy, a cicho: nie trwóźmy, nie trwóźmy!

Duch (z lewej strony).

Noc smutna w więzieniu: tam, w mieście, wesele!
U stołów tam muzyki huczą,
Przy pełnych kielichach śpiewają minstrele,
Tam nocą komety się włóczą,
Komety z oczkami i z jasnym warkoczem.

(Więzień usypia).

Kto po nich kieruje łódź w biegu,
Ten zaśnie na fali w marzeniu uroczem;
Na naszym przebudzi się brzegu.

Anioł.

My uprosiliśmy Boga,
By cię oddał w ręce wroga.

Samotność, mędrców mistrzyni:
I ty, w samotnem więzieniu,
Jako prorok na pustyni,
Dumaj o twem przeznaczeniu.

Chór duchów nocnych.

W dzień Bóg nam dokucza: lecz w nocy wesele,
W noc późną próżniaki się tuczą,
I w nocy swobodniej śpiewają minstrele,
Szatany piosenek ich uczą.
Kto ranną myśl świętą przyniesie z kościoła,
Kto rozmów pocziwych smak czuje.
Noc-pjawka wyciągnie pobożną myśl z czoła,
Noc-wąż w ustach smaki zatruje.
Śpiewajmy nad sennym, my nocy synowie,
Usłużmy, aż będzie nam sługą;
Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie,
Nasz będzie... Ach, gdyby spał długo!

Anioł.

Modlono się za tobą na ziemi i w niebie;
Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

Więzień (budzi się i myśli).

Ty, co bliźnich katujesz, więzisz i wyrzynasz,
I uśmiechasz się we dnie, a w wieczór uczujesz,
Czy ty zrana choć jeden sen twój przypominasz?
A, jeśliś go przypomniał, czy ty go pojmujesz?

(Drzemie).

Anioł.

Ty będziesz znowu wolny; my oznajmić przyskli.

Więzień (budzi się).

Będę wolny?... Pamiętam, ktoś mi wczora powiedział...
Nie... Skądże to? Czy we śnie, czy Bóg mi objawił?

(Zasypia).

Aniołowie.

Pilnujmy tylko, ach pilnujmy myśli:
Między myślami bitwa już stoczona!

Duchy (z lewej strony).

Podwójmy napaść!

Duchy (z prawej).

My podwójmy strażę!
Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona:
Jutro się w mowach i dziełach pokaże;
I jedna chwila tej bitwy wyrzeka
Na całe życie o losach człowieka.

Więzień.

Mam być wolny!... Tak! Nie wiem skąd przyszła nowina,
Lecz ja znam, co być wolnym z łaski Moskwicina.
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,
Ale wtłoczą na duszę! Ja będę wygnany!
Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół tłumie,
Ja śpiewak: i nikt z mojej pieśni nie zrozumie
Nic, oprócz niekształtnego i marnego dźwięku...
Łotry, tej jednej broni z rąk mi nie wydarły;
Ale mi ją zepsuto, przełamano w rękę;
Żywy, zostanę dla mej Ojczyzny umarły
I myśl legnie zamknięta w duszy mojej cieniu,
Jako djament w brudnym zawarty kamieniu.

(Wstaje i pisze węglem z jednej strony):

D. O. M.
G U S T A V U S
OBIIT M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.

(Z drugiej strony)

HIC NATUS EST
CONRADUS
M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.

(Wspiera się na oknie i usypia).

Duch.

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że, ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czeka twej myśli — szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz;
A ty, jak obłok górny, ale błędny pałasz,
I sam nie wiesz, gdzie lecisz, sam nie wiesz, co
działasz!

Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony!

SCENA I

(fragment).

OPOWIADANIE SOBOLEWSKIEGO.

Kilku z więźniów.

No, jakie nowiny?

Jan Sobolewski (ponuro).

Niedobre — dziś — na Sybir — kibitek dwadzieścia
Wywieźli.

Żegota.

Kogo? — naszych?

Jan.

Studentów ze Żmudzi.

Wszyscy.

Na Sybir?

Jan.

I paradnie! — było mnóstwo ludzi!

Kilku.

Wywieźli!

Jan.

Sam widziałem.

Jacek.

Widziałeś! — i mego
Brata wywieźli? — wszystkich?

Jan.

Wszystkich, — do jednego.

Sam widziałem. — Wracając, prosiłem kaprała
Zatrzymać się; pozwolił chwilę. Stałem zdala,
Skrzyłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była; — ludu zebrało się wiele.
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawalem
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,
I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem

Księżda z kielichem w rękę i chłopca ze dzwonkiem.
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębнами stało we dwa rzędy;
W pośrodku nich kibitki. — Patrzą, z placu sady
Policmajster na koniu; — z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi:
Tryumf Cara północy, zwycięzcy — na działaw. —
Wkrótce znak dano bębniem i ratusz otwarty —
Widziałem ich: — za każdym z bagnetem szły warty,
Małe chłopcy, znędzniśle, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami; — na nogach okuci.
Biedne chłopcy! — najmłodszy, dziesięć lat, nieboże;
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może;
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.
Policmajster przejeżdża, pyta, czego żądał;
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:
„Dziesięć funtów, zgadza się z przepisana waga“. —
Wywiedli Janczewskiego; — poznałem, oszpetniał,
Zeczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał.
• Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów cesarz! — okiem dumnym, suchym i pogodnym;
To zdawał się pocieszać spółników niedoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim, lecz łagodnym. —
Jak gdyby im chciał mówić: niebardzo mnie boli.
Wtém zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,
I nie widząc, że kapral za suknią mnie trzyma,
Myślił, żem uwolniony; — dłoń swą ucałował,
I skinał ku mnie, jakby żegnał i winszował; —
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,
A Kapral ciągnął gwałtem, ażeby się schował;
Nie chciałem, tylko stanął bliżej przy kolumnie.
Uważałem na więźnia postawę i ruchy: —
On postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy,
Wstrząsnął nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt
ciężył.

A wtém zacięto konia, — kibitka runęła —
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła“. —
Wpadli w tłum; — ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydną.
Głowa niezawstydzona, dumna, zdala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza
I wystaje z czarnego tylu głów natłoku,
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszczą.
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku
I zostaną w mej myśli, — i w drodze żywota,
Jak kompas pokażą mi, powiodą gdzie cnota:
Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie
Zapomnij o mnie!...

X. Lwowicz.

Amen za was.

Każdy z więźniów.

I za siebie.

Jan Sobolewski.

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim
Kibitki; — ich wsadzano jednego po drugim.
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,
Po wojsku, — wszystkie twarze pobladły jak trupie;
A w takim tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.
Dziwna rzecz! wszyscy czuli, jak nieludzka kara:
Lud, wojsko czuje, — milczy, — tak boją się cara.
Wywiedli ostatniego; — zdało się, że wzbraniał,
Lecz on biędny iść nie mógł, co chwila się słaniał,
Zwolna schodził ze schodów i ledwie na drugi
Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi.
To Wasilewski, siedział tu w naszym sąsiedztwie;

Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,
Niósł w kibitkę na rękę, ale ręką drugą
Tajemnie łyzy ocierał; — niósł powoli, długo...
Wasilewski nie zemdłał, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale jak padł na ziemię prosto, tak oteżał.
Niesiony, jak słup sterczał i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;
Oczy straszne, zbielełe, szeroko rozwarłe..
I lud oczy i usta otworzył; — i razem
Jedno westchnienie, z piersi tysiąca wydarte,
Głębokie i podziemne jęknęło dokoła,
Jak gdyby jęły wszystkie groby z pod kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębniem i rozkazem:
„Do broni — marsz!“ — ruszono; a środkiem ulicy
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.
Jedna pusta; — był więzień, ale niewidomy;
Rękę tylko do ludu wyciągnął z pod słomy.
Sinę, rozwartą, trupią; trząsł nią, jakby zegnał...
Kibitka w tłum wjechała; — nim bicz tłumy przegnał,
Stanęli przed kościołem; i właśnie w téj chwili
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.
Spojrzałem w kościół pusty — i rękę kapłańską
Widziałem, podnoszącą ciało i krew Pańską,
I rzekłem: „Panie! Ty, co sądami Piłata
Przełaleś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę z pod sądów cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą, ni wielką, lecz równie niewinną“.

SCENA DRUGA.

Improwizacja.

Konrad (po długim milczeniu).

Samotność!... Cóż po ludziach? czym śpiewak dla
ludzi?
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,

Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trzusi!
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie:
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłona, i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połknietą, niewidzialną rzeką.
Z drżenia ziemi czyż ludzie głębi nurtów docieką,
Gdzie pędzi, czy się domyślą?

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski do ciebie wysłany za gońcą,
Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie nie dolata:
Tylko o moją mleczną drogę się uderzy!
Domyśla się, że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne!...
Płyńcie w duszy mej wnętrzościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.

Ty Boże, ty naturo, dajcie posłuchanie!
Godna to was muzyka i godne śpiewanie:

Ja, mistrz,
Ja, mistrz, wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosy, i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem
Kręcę gwiazdy moim duchem.
Miljon tonów płynie: w tonów miljonie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;

Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i w strofy płaczę
Rozlewam je we dźwiękach i błyskawic wstęgach.

Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie,
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie...

Sam śpiewam... Słyszę me śpiewy:
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy,
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,
Jęczą żalem, ryczą burzą,
I wieki im głucho wtórzają;

A każdy dźwięk ten razem gra i płonie,
Mam go w uchu, mam go w oku...
Jak wiatr, gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie!..
Pieśń to wielka, pieśń — tworzenie.
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność!

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę...

Cóż Ty większego mogłeś zrobić, Boże?

Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie,

Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już dalekie: czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję:
Kocham was, me dzieci wieszczel!
Myśli moje! gwiazdy moje!
Czucia moje! wichry moje!

W środku was, jak ojciec wśród rodziny stoje,

Wy wszystkie moje!

Depczę was, wszyscy poeci,
Wszyscy mędrcy i proroki,
Których wielbił świat szeroki!
Gdyby chodzili dotąd wśród swych dusznych dzieci,
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski
Słyszeli, czuli, i za słuszne znali,
I wszystkie sławy każdodziennych blaski
Promieniami na wieńcach swoich zapalali:
Z całą pochwał muzyką i wieńców ozdoba,
Zebraną z wieków tyła i z pokoleń tyła,
Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,
Jak ja dziś czuję, w tej samotnej nocy,
Kiedy sam śpiewam w sobie,
Śpiewam samemu sobie...

Tak! Czuję jestem, silny jestem i rozumny
Nigdy nie czułem, jak w tej chwili;
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,
Dziś poznam, czym najwyższy, czyim tylko
dumny;

Dziś jest chwila przeznaczona,
Dziś najsilniej wyteżę duszy mej ramiona!

To jest chwila Samsona,

Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny...

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra...

Potrzeba mi lotu!

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,

Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórcy i natura.

I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!

I zajrzę w uczucia Twoje.

O, Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!

Jam tu, jam przybył, widzisz, jaka ma potęga:

Aż tu moje skrzydło sięga!

Lecz jestem człowiek, i tam, na ziemi me ciało;
Kochałem tam, w Ojczyźnie serce me zostało...

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały Naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu, do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...
Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec.
Przyszedłem, zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła;
Mam więcej: tę Moc, której ludzie nie nadadzą.
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa...

I mocy tej nie wziąłem z drzewa edeńskiego,
Z owocu wiadomości złego i dobrego,
Nie z ksiąg, ani z opowiadań,
Ani z rozwiązania zadań,
Ani z czarodziejskich badań.
Jam się twórcą urodziłem!
Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził:
Masz, nie boisz się stracić — i ja się nie boję!
Czyś ty mi dał, czy wziąłem, skąd i Ty masz, oko
Bystre, potężne: w chwilach mej siły, wysoko
Kiedy na chmur spojrzę szlaki,
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle:
Zechcę, i wnet je okiem zatrzymam, jak w sidło...

Stado pieśń żalosną dzwoni:
Lecz póki ich nie puszcze, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spojrzę w kometa z całą mocą duszy,
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy...

Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni,

Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu:

Mnie i Ciebie!

Ja na nich szukam sposobu

Tu, w niebie!

Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,

Chcę wyrzucić na ludzkie dusze,

Jak ptaki i jak gwiazdy rządę mem skinieniem,

Tak bliźnich rozrządzać muszę.

Nie bronią — broń broń odbije,

Nie pieśniami — długo rosna,

Nie nauką — prędko gnije,

Nie cudami — to zbyt głośno.

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!

Rządzić, jak Ty, wszystkiemi zawsze i tajemnie!

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,

Spełnią, tem się uszczęśliwią:

A jeżeli się sprzeciwią,

Niechaj cierpią i przepadną!

Niech ludzie będą dla mnie, jak myśli i słowa,

Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!

Mówią, że Ty tak władasz!...

Wiesz, że myśli nie popsuł, mowy nie umorzył;

Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,

Jabym mój Naród jak pieśń żywą stworzył,

I większe, niżli Ty, zrobiłbym dziwo:

Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

Daj mi rząd dusz!... Tak gardzę tą martwą budową,

Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,

Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo

Nie mogłoby jej wnet zwalić;

64
Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę
Ścisnął, nateżył i razem wyświecił,
Możebym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił!
Bo jestem nieśmiertelny... i w stworzenia kole
Są inni nieśmiertelni: wyższych nie spotkałem;
Najwyższy na niebiosach! Ciebie tu szukałem,
Ja, najwyższy z czujących na ziemnym padole.
Nie spotkałem Cię dotąd — żeś Ty jest, zgaduję,
Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję! —
Ja chcę władzy! Daj mi ją, lub wskaż do niej drogę!
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem,
I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę...
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz!...

(Długie milczenie).

(Z ironją).

Milczysz, milczysz!... Wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,
Zrozumiałem, coś Ty jest, i jakeś Ty władał.
Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością,
Ty jesteś tylko — mądrością!
Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą,
Myślą, nie sercem, składy broni Twej wyśledzą!

Ten tylko, kto się wrył w księgi,
W metal, w liczbę, w trupie ciało,
Temu się tylko udało
Przywłaszczyć część Twej potęgi:
Znajdzie truciznę, proch, parę,
Znajdzie blaski, dymy, huki,
Znajdzie prawność i złą wiarę
Na mędrki i na nieuki.
Myślom oddałeś świata użycie,
Serca zostawiasz na wiecznej pokucie.
Daleś mnie najkrótsze życie
I najmocniejsze uczucie...

(Milczenie).

Czem jest me czucie?

Ach, iskrą tylko!

Czem jest me życie?

Ach, jedną chwilką!

Lecz te, co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?

Iskrą tylko.

Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?

Jedną chwilką.

Z czego wychodzi cały człowiek, mały świątek?

Z iskry tylko.

Czem jest śmierć, co rozproszy myśli mych dostatek?

Jedną chwilką.

Czem był On, póki światy trzymał w swoim łonie?

Iskrą tylko.

Czem będzie wieczność świata, gdy On go pochłonie?

Jedną chwilką.

Głos z lewej strony.

Wsiąść muszę

Na duszę

Jak na koń.

Goń! goń!

W cwał, w cwał!

Głos z prawej.

Co za szal!

Brońmy go, brońmy,

Skrzydłem osłońmy

Skroń!

Konrad.

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala:

Stwarza i zwała.

Śmiało, śmiało! Tę chwilę rozdłużmy, rozdajmy!

Śmiało, śmiało! Tę chwilę rozdłużmy, rozpalmy!

Teraz... dobrze... tak. Jeszcze raz Ciebie wyzywam,

Jeszcze po przyjacielsku duszę Ci odkrywam...

Milczysz?... Wszakżeś z Szatanem walczył osobiście?

Wyzywam Cię uroczyście!

Nie gardź mną; ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony.

Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,

Mam ja za sobą wojska, i mocy, i trony...

Jeśli ja będę bluźnierca,

Ja wydam Tobie krwawszą bitwę, niżli Szatan:

On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!

Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;

Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście,

Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,

Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

Głos.

Głos.

Rumaka.

Gwiazdo spadająca!

Przedzierżnę w ptaka.

Jaki szal

Orlemi pióry

W otchłań cię strąca!

Do góry!

W lot!

Konrad.

Teraz duszą jam w moją Ojczyznę wcielony,

Ciałem połknąłem jej duszę:

Ja i Ojczyzna, to jedno;

Nazywam się „Milijon“, bo za miliony

Kocham i cierpię katusze!

Patrzę na Ojczyznę biedną,

Jak syn na ojca, wplecionego w koło;

Czuje całego cierpienia Narodu,

Jak matka czuje w łonie bóle swego płodu.

Cierpię, szaleję... A Ty, mądrze i wesoło

Zawsze rządzisz, zawsze sądzisz —

I mówią, że Ty nie błądzisz!

Konrad (po chwili).

Słuchaj! Jeśli to prawda, com z wiarą synowska

Słyszał, na ten świat przychodząc:

Że Ty kochasz; jeżeliś Ty kochał, świat rodząc,

Jeśli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską;

Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt,
Któreś Ty w arce zamknął i wyrwał z powodzi;
Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;
Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,
Jeśli w milion ludzi krzyczących „ratunku!”
Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku;
Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną,
I nie jest tylko Twoją omyłką liczebną...

Głos.

Orla w hydrę!
Oczy mu wydrę.
Do szturmu dalej!
Dymi! pali!
Ryk, grzmot!

Głos.

Z jasnego słońca
Kometo błędu!
Gdzie koniec twego pędu?
Bez końca, bez końca!

Konrad.

Milczysz!... Jam ci do głębi serce me otworzył...
Zaklinam, daj mi władzę; jedna część jej licha,
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha:
Z tą jedną cząstką ileż jabym szczęścia stworzył!
Milczysz!... Nie dasz dla serca, dajże dla rozumu!
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,
Że Cię znam lepiej, niżli Twoje archanioły,
Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się napoły...
Jeślim nie zgadł, odpowiedz... Milczysz... Ja nie kłamię!
Milczysz i ufasz, że masz silne ramię...
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamię!...
Widzisz to moje ognisko: uczucie?
Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,
Wbijam w żelazne woli mej okucie,
Jak nabój w burzące działo...

Głos.

Ognia! Pal!

Głos.

Litość! Żal!

Konrad.

Odezwiĳ się, bo strzelę przeciw Twej naturze!
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
To wstrząsnę całym państw Twoich obszarem;
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,
Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale...

Głos diabła.

Carem!

Konrad (staje chwilę, stania się i pada).

Duchy z lewej strony.

Pierwszy.

Depć, chwytaj!

Drugi.

Jeszcze dysze.

Pierwszy.

Omdlał, omdlał, a nim
Przebudzi się, dodusim!

Duch z prawej strony.

Precz!... Modlą się za nim.

Duch z lewej.

Widzisz, odpędzają nas.

Pierwszy z lewej.

Ty, bestyo głupia!
Nie pomogłeś mu słowo ostatnie wyrzygnąć,

Jeszcze o jeden stopień w dumę go podźwignąć ...
Chwila dumy — ta czaszka byłaby już trupia.
Być tak blisko tej czaszki, i nie można deptać!
Widzieć krew w jego ustach, i nie można chleptać?
Najgłupszy z djabłów, tyś go wypuścił w pól drogi...

Drugi.

Wróci się, wróci...

Pierwszy.

Precz stąd, bo wezmę na rogi
I będę cię lat tysiąc niósł, i w paszczę samą
Szatana wbiję.

Drugi.

Cha! Cha! Straszysz! Ciociu! Mamo!
Ja dziecko będę płakać — (*placze*) — Masz! —
(*uderza rogiem*).

A co, nie chybił!
Leć i nie wyłaż z piekła!... Aha, do dna przybił!
Rogi mę, brawo, rogi!

Pierwszy.

Sacrédiu!

Drugi (uderza).

Masz!

Pierwszy.

(Słysząc stukanie i klucz w drzwiach). W nogi!

Drugi duch.

Pop, klecha! Przyczajmy się i schowajmy rogi.

SCENA PIĄTA.

Cela księdza Piotra.

Ks. Piotr.

(Modli się, leżąc krzyżem).

Panie! czemu ja jestem przed Twojem obliczem?
Prochem i niechem!

Ale, gdym Tobie moję nicość wypowiadał:
Ja, proch, będę z Panem gadał.

(*Widzenie*).

Tyran wstał... Herod!... Panie, cała Polska młoda
Wydana w ręce Heroda.

Co widzę?... Długie, białe, dróg krzyżowych biegi...
Drogi długie... Nie dojrzeć... przez puszcę, przez śniegi,
Wszystkie na Północ! Tam, tam, w kraj daleki
Płyną jak rzeki...

Płyną: ta droga prosto do żelaznej bramy;
Tamta, jak strumień, wpadła pod skałę, w te jamy,
A tamtej ujście w morzu... Patrz! po drogach leci
Tłum wozów: jako chmury wiatrami pędzone,
Wszystkie tam, w jedną stronę...

Ach, Panie! to nasze dzieci!
Tam na Północ... Panie, Panie!
Takiż to los ich — wygnanie!

I dasz ich wszystkich wygubić za młodu,
I pokolenie nasze zatracisz do końca?...
Patrz... Ha! To dziecię uszło... rośnie... to obrońca!
Wskrziesiciel Narodu!

Z matki obcej; krew jego, dawne bohaterzy:
A imię jego będzie czterdzieści i cztery.

Panie! Czy przyjdzie jego nie raczysz przyspieszyć?
Lud mój pocieszyć!...

Nie! Lud wycierpi... Widzę ten motłoch! tyrany,
Zbójce... biegają... porwali... mój Naród związany
Cała Europa wlecze, nad nim się urąga:

„Na trybunał!“ Tam zgraja niewinnego wciaga.
Na trybunale gęby bez serc, bez rąk: sędzie...

To jego sędzie!

Krzyczą: „Gal, Gal sądzić będzie!“
Gal w nim winy nie znalazł i — umywa ręce;
A króle krzyczą: „Potęp i wydaj go męce!
Krew jego spadnie na nas i na syny nasze.
Krzyżuj syna Maryi, wypuść Barabasze!
Ukrzyżuj! On cesarza koronę znieważa;
Ukrzyżuj: bo powiemy, żeś ty wróg cesarza!“
Gal wydał... Już porwali... już niewinne skronie
Zakrwawione, w szyderskiej, cierniowej koronie,
Podnieśli przed świat cały; — i ludy się zbiegły —
Gal krzyczy: „Oto naród wolny, niepodległy!“

Ach Panie! Już widzę krzyż... Ach, jak długo, długo
Musi go nosić... Panie, zlituj się nad sługą!
Daj mu siły, bo w drodze upadnie i skona!...
Krzyż ma długie, na całą Europę ramiona,
Z trzech wyschłych ludów, jak z trzech twardych
drzew, ukuty...

Już wleką: już mój Naród na tronie pokuty...
Rzekł: „Pragnę!“ Rakus octem, Borus żółcią poi;
A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.
Patrz! Oto żołdak Moskal z kopją przyskoczył,
I krew niewinną mego narodu wytoczył...
Cóżeś zrobił najgłupszy, najsroższy z siepaczy?...
On jeden poprawi się — i Bóg mu przebaczy!

Mój kochanek już głowę konającą spuścił,
Wołając: „Panie! Panie! zacoś mię opuścił!“
On skonał!...

(Słysząc chóry aniołów, daleki śpiew wielkanocnej pieśni,
Nakoniec słysząc „Alleluja! alleluja!“)

Ku niebu, on ku niebu, ku niebu ulata!
I od stóp jego wionęła
Biała jak śnieg szata...

Spadła szeroko — cały świat się w nią obwinał...
Mój kochanek na niebie, z przed oczu nie zginął:
Jako trzy słońca, błyszczą jego trzy źrenice,
I ludom pokazuje przebitą prawicę.
Któż ten mąż?... To namiestnik na ziemskim padole.
Znałem go — był dzieckiem — znałem.
Jak urósł duszą i ciałem!
On ślepy; lecz go wiedzie anioł pacholę.
Mąż straszny... ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła.
Jak baldachim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, osłania lice.
Podnóżem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą gdy on woła;
I słyszę z nieba głosy, jak gromy:
„To namiestnik wolności na ziemi widomy!
„On to na sławie zbuduje ogromy
„Swego kościoła!“
Nad ludy i nad króle podniesiony,
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcej: krew jego: dawne bohaterzy,
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! sława sława!
(Zasypia).

Aniołowie (schodzą widomie).

Usnął... Wyjmijmy z ciała duszę, jak dziecinę
Senną z kolebki złotej, i zmysłów sukienkę
Lekko zwleczmy: ubierzmy w światło, jak jutrzrenkę,
I lećmy. Jasną duszę nieśmy w niebo trzecie,
Ojcu naszemu złożyć na kolanach dziecę:
Niech uświęci sennego ojcowską pieśczętą;
A przed ranną modlitwą duszę wrócim życiu,
I znowu w czystych zmysłów otulim powiciu,
I znowu złożym w ciało, jak w kolebkę złotą.

PAN TADEUSZ*)

(fragmenty).

*) *Arcydzieło „Pan Tadeusz” wydane zostało w roku 1834. Myśl napisana tej epopei powstała w roku 1832. Ta najdoskonalsza i najpiękniejsza epopeja polska jest obrazem życia polskiego. Zbliżając się do „Odyssei” Homera, w niczem go nie naśladuje. Świat polski poznajemy w „Panu Tadeuszu”. nie w walkach, ale w życiu spokojnem. Odmalował genialnie poeta całą naszą cywilizację: nasze zalety i wady, nasze obyczaje, dając wierne odbicie społeczeństwa polskiego. Jest ten poemat arcydziełem formy, — posiada wielką wartość moralną, gdyż kreśli nam typy ludzkie zdrowe, zdolne do poświęceń i uznania swych win. Główna ośnowa poematu skupia się około sporu dwu możnych rodów: Sopliców i Horeszków o zamek.*

PAN TADEUSZ

czyli

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Z KSIĘGI I-ej.

POWRÓT PANICZA.

Litwo, Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! *) Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłaś cudem
(Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu

*) Wszyscy w Polsce wiedzą o obrazie cudownym N. P. na Jasnej Górze w Częstochowie. W Litwie słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiej w Wilnie, Zamkowej w Nowogródku, tudzież Zyrowickiej i Borusińskiej.

Iść za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono!...
Tymczasem, przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Idzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Idzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zioloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Śród takich pól, przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Uzątku, co przed strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopie, co wzdłuż i wszersz smugów
Świecą gęsto, jak gwiazdy; widać z liczby pługów,
Orzących wcześniej łąny ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama, na wściągę otwarta, przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek,
I, obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu; konie porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami, i kołkiem zaszczepki przetknięto.

Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać.
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział, bo w dalekim mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega, i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się zabawiać lubił od powicia,
Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałosny po wolności stracie;
W rękę trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny;
Stoją na szaniecach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.
Nawet stary, stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał, u wnijścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wehodzi, cofnął się, toczył zdumione żrenice
Po ścianach: w tej komnacie mieszkanie kobiece!
Któżby tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty.
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
To nie był ochmistrzyni pokój? Fortepiano?
Na niem nuty i książki; wszystko porzucano
Niedbale i bezładnie: nieporządek miły!
Niestare były ręczki, co je tak rzuciły.

Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczu rozpięta;
A na oknach donice z pachnącemi ziołki,
Geranium, lewkonia, astry i fijołki.

Podróżny stanął w jednym z okien; nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu, niegdyś zarosłym pokrzywą,
Był małeńki ogródek, ścieżkami porznięty,
Pełen bukietów, trawy angielskiej i mięty.
Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płótek
Połykał się wstążkami jaskrawych stokrotek.
Grządki widać że były świeżo podlewane;
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane.
Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki.
Tylko co wyszła: jeszcze kołyszą się drzewiczki
Świeżo tracone; blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku: bez trzewika była i pończoszki.
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu,
Ślad wyraźny, lecz lekki; odgadniesz, że w biegu
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnemi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał, patrząc, dumając,
Wonnemi powiewami kwiatów oddychając.
Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,
Oczyrna ciekawemi po drożynach gonił,
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,
Myślał o nich, i czyje były — odgadywał.
Przypadkiem oczy podniósł, i tuż na parkanie
Stała młoda dziewczyna... Białe jej ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odślaniając ramiona i łabędzią szyję.
W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
W takim nigdy nie bywa od mężczyzn widziana:
Więc choć świadka nie miała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe

Pokrecony, schowany w drobne strączki białe
Dziwnie ozdabiał głowę: bo od słońca blasku
Świecił się, jak korona na świętych obrazku.
Twarzy nie było widać. Zwrócona na pole,
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;
Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
Jak biały ptak zleciała z parkanu na błonie,
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,
I po desce, opartej o ścianę komnaty,
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca.
Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.
Nucąc, chwyciła suknię, biegła do zwierciadła:
Wtem ujrzała młodzieńca, i z rąk jej wypadła
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
Twarz podróżnego barwą spłoneęła rumianą,
Jak obłok, gdy z jutrzeńką napotka się ranną.
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił.
Chciał coś mówić, przeproszać; tylko się uklonił
I cofnął się. Dziewica krzyknęła boleśnie,
Niewyraźnie, jak dziecko, przestraszone we śnie;
Podróżny zląkł się, spojrzał; lecz już jej nie było.
Wyszedł zmieszany i czuł, że mu serce biło
Głośno, i sam nie wiedział, czy go miało śmieszyć
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzić, czy cieszyć?

Z KSIĘGI III-ej.

GRZYBOBRANIE.

Był gaj, zrzadka zarosły, wysłany murawą.
Po jej kobiercach, nawsrós białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce i dziwny ubiór: istne duchy
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,

Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg
jasnych;

Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
Ten z gołą głową; inni, jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony,
Ciągające się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innej postawie; ten przyrósł do ziemi.
Tylko oczyma kręci na dół spuszczone;
Ów, patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy,
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy:
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony,
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
Jeżeli się przybliżą, albo się spotkają,
Ani mówią do siebie, ani się witają,
Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.
Hrabia widział w nich obraz elizejskich cieni,
Które, chociaż boleściom, troskom niedostępne,
Błakają się spokojne — ciche, lecz posępne.

Któżby zgadnął, że owi, tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie, są nasi znajomi,
Sędziowscy towarzysze? Z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybobrania.
Jako ludzie rozsądni umieją miarkować
Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
W każdej okoliczności do miejsca i czasu;
Dlatego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,
Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
Służące do przechadzki oponcze płóciennie,
Któreми osłaniają po wierzchu kontusze,
A na głowy słomienne wdziali kapelusze,
Stąd biali wyglądają jak czyścowe dusze.
Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny
I kilku po francusku chodzących.

Tej sceny

Hrabia nie pojął, nie znał wiejskiego zwyczaju:
Więc, zdziwiony niezmiernie, biegł pędem do gaju.

Grzybów było w bród. Chłopey biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione *lisice*,
Co są godłem panieństwa: bo czerw ich nie zjada
I, dziwna! żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią *borowikiem*,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem. *)
Wszyscy dybią na *rydza*; ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, zato najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
Czy zimą. Ale Wojski zbierał *muchomory*. ...

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;
Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyni stołowych sterczą: tu z krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnem winem napełnione;
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;
Bielaki, krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czerniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona
Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
Od ludzi nie ochrzczone; a jest ich bez liku.
Ni wilczych, ni zajęczych, nikt dotknąć nie raczy;
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój zobaczy,
Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Telimena ni wilczych, ni ludzkich nie zbiera.
Roztargniona, znudzona, dokoła spoziera,

*) Znajoma w Litwie pieśń gminna o grzybach, wychodzą na wojnę pod wodzą borowika. W pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

Z głową w górę zadartą. Więc Pan Rejent w gniewie
Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie;
Asesor ją złośliwie równał do samicy,
Która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż zdała się szukać samotności, ciszy...
Oddalała się zwolna od swych towarzyszy
I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły.
Ocieniony, bo drzewa gęściej na nim rosły.
W środku szarzał się kamień; strumień z pod kamienia
Szumiał, tryskał, i zaraz, jakby szukał cienia,
Chował się między gęste i wysokie zioła,
Które, wodą pojone, bujały dokoła;
Tam ów bystry swawolnik, spowijany w trawy
I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,
Niewidzialny i ledwie dosłyszany szepce,
Jako dziecię krzykliwe, złożone w kolebce,
Gdy matka nad niem zwiąże firanki majowe
I liścia makowego nasypie pod głowę.
Miejsce piękne i ciche; tu się często schrania
Telimena, zowiąc je „*Świątynią dumania*“.

Z KSIĘGI IV-ej.

ŁOWY.

Rówienniki litewskich wielkich kniaziołów, drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy,
I Gedymina, kiedy na Pomorskiej górze,
Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,

A Wilii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym *),
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi!
Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Równie myśliwi wielcy, jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów,
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy,
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy, *)
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
Drezwa moje ojczyste! Jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy:
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pęzałem jak dziecię:
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie **),
Wiekami wydrażonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem? *)

*) Podług tradycji, wielki książę Gedymін miał sen na górze Ponarskiej o wilku żelaznym, i za radą Wajdeloty Lizdejki założył miasto Wilno.

*) Zygmunt-August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego: przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

**) W powieście Rosieńskim, w majątności Paszkiewicza, pisarza ziemskiego, rósł dąb znany pod imieniem Baublis, niegdyś w czasach pogańskich czczony jak świętość. We wnętrzu tego wygniłego olbrzyma Paszkiewicz założył gabinet starożytności litewskich.

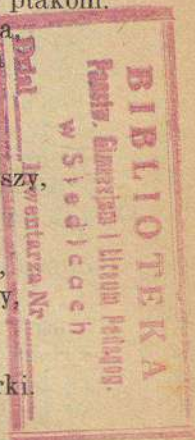
*) Niedaleko fary nowogrodzkiej rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.

I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka lub rządowa moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, których cień wasz tak miły, jak ptakom.
Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! Wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy,
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody.
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody.
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznicę, jakby w koralów paciorki.
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury:
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem;
Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi nakształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn oblamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe ramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.



Czasem wymkną się w górę, przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieciół na jedlinie
Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,
Schował się: ale dzióbem nie przestaje pukać,
Jak dziecko gdy schowane, woła, by go szukać.
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma.
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak piórko nad szyszakiem u kirasyjera:
Chociaż tak osłoniła, dokoła spoziera.
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznica
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada.
Jak wracająca w drzewo rodzime dryjada.

Znowu cicho.

Wtem gałąź wstrzęsła się trącona,
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,
Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica:
To jagód lub orzechów zbieraczka, dziewica.
W krobeczce z prostej kory, podaje zebrane
Brusznice świeże, jako jej usta rumiane,
Obok młodzieniec idzie, leszczykę nagina:
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

Wtem usłyszeli odgłos rogów i psów granie:
Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,
I pomiędzy gałęzi gęstwą, pełni trwogi,
Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.

*

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka — do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,

Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje;
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje —
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami węzowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkim męstwem,
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem;
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziora, trawą zarosłe napół,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dosłędzą
(Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą).
Woda tych studni skłni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody, jak czarownice kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za temi jeziorami, już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą na koniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory:
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszczy imperatory;
Okóło nich, na drzewach, gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;

Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wassale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów, dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój cmentarz, kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź, gdy, zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy osłepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi, *)
Idą na cmentarz; nawet mniejszy zwierz, raniony.
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości. **)
Słychać, że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dziki i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie,
Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niebrojny,

*) Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziej zakrzywiają się i na koniec wierzchnie ostrze, zagiąwszy się, dziób zamyka, i ptak z głodu umierać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy ornitologowie.

**) Rzeczywiście niema przykładu, aby znaleziono gdzie szkielet zdechłego zwierza.

Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogroju gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekle ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają, skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem, ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego, strachem opętane.
Te puszczy stołecznym ludziom nieznanie tajniki
W języku swoim strzelcy zowią: *Mateczniki*.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział,
Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział.
Ale, czyli pasieki zwabiła cię wonność,
Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność:
Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerzedził,
I tam zaraz leśniczy bytność twą wyszedził,
I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi.
Teraz Wojski z obławą, już od matecznika,
Postawiwszy szeregi, odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu
Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.
Cicho. — Próżno myśliwi nateżają ucha;
Próżno, jak najciekawszej mowy, każdy słucha
Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka:
Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.
Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki,
A strzelcy, obróciwszy do lasu dwururki,
Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta;

Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta
Wyrok życia lub zgonu milej im osoby,
Tak strzelcy, ufni w sztuki Wojskiego sposoby,
Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi.
„Jest! jest“ wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.
On słyszał! oni jeszcze słuchali — nareszcie
Słyszą: jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,
Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
Doławiają się, wrzeszczą, wpadły na trop, grają,
Ujadają. Już nie jest to powolne granie
Psów goniących zająca, lisa albo łanie;
Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
To nie na ślad daleki ogary napadły,
Na oko gonią. — Nagle ustał krzyk pogoni,
Doszli zwierza. Wrzask znowu, skowyt; zwierz się broni
I zapewne kaleczy: śród ogarów grania
Słychać coraz to częściej jęk psiego konania.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową
Wygiał się jak łuk naprzód z wciśnioną w las głową.
Nie mogą dłużej czekać! Już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszcę się wciska,
Chcąc pierwsi spotkać zwierza, choć Wojski ostrzegał,
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,
Jeżeli z miejsca sejdzie, dostanie w grzbiet smychem!
Nie było rady! Wszyscy, pomimo zakazu,
W las pobiegli. Trzy strzelby huknęły odrazu;
Potem wciąż kanonada, aż głośniejsze nad strzały
Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.
Ryk okropny, boleści, wściekłości, rozpacz;
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby

dojeżdżaczy

Grzmiały ze środka puszczy. Strzelcy — ci w las
śpieszą,

Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą;
Jeden Wojski w żalości, krzyczy, że chybiono.

Strzelce i obławnicy poszli jedną stroną
Na przelaj zwierza, między ostępem i puszczą,
A niedźwiedź, odstraszone psów i ludzi tłuszcza,
Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone,
Ku polom, skąd już zeszły strzelce rozstawione,
Gdzie tylko pozostali, z mnogich łowczych szyków,
Wojski, Tadeusz, Hrabia z kilką obławników.

Tu las był rzadszy. Słysząc z głębi ryk, trzask łomu,
Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź naksztalt
gromu;

Wkoło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spojrzał wkoło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami, to drzewa korzenie,
To pniaki osmolone, to wrosłe kamienie
Rwał, wałąc w psów i w ludzi, aż wyłamał drzewo,
Kręcąc niem jak maczugą, na prawo, na lewo,
Runął wprost na ostatnich strażników obławy:
Hrabie i Tadeusza. Oni bez obawy
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;
Aż oba, jednym razem, pociągnęli kurki,
(Niedoświadczeni!) razem zagrzyniały dwururki:
Chybili. Niedźwiedź skoczył; oni tuż utkwiony
Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
Wydzierali go sobie. Spojrzą, aż tu z pyska
Wielkiego, czerwonego, dwa rzędy kłów błyska,
I łapa z pazurami już się na łby spuszcza:
Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzędzie puszcza
Zmykali. Zwierz za nimi wspiał się, już pazury
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiał się znów do góry
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
Zdarłoby mu czaszkę z mózgow, jak kapelusz z głowy:
Gdy Asesor z Rejentem wyskoczyli z boków,
A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,
Z nim Robak, choć bez strzelby: i trzej, w jednej
chwili,

Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.
Niedźwiedź wyskoczył w górę, jak kot przed chartami,
I głową na dół runął, i czterma łapani
Przewróciwszy się młyncem, cielska krwawe brzemie
Walać tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyzna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swoj róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdał policzki jak banię; w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął wpół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha,
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg jak wichur, niewstrzymanym dechem
Niesie w puszcze muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczerwacz, zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach sływał,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nią wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historyja krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzieniegdzie ton twardszy, jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się
zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadał znowu. Myślibyś, że róg kształty zmieniał
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje:
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął; potem beczenie zuba wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się
zdawało,

Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.

Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,

Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się
zdawało,

Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało:

Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru.

Jedne drugim pieśń niosą, jak z choru do choru.

I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,

Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,

Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!...

Wojski obiedwie ręce, odjąwszy od rogu,
Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałem,
promiennem,

Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,

Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.

A tymczasem zagrzmiały tysiące oklasków,

Tysiące powinnowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszone się zwolna, i oczy gawiedzi
Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi.
Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,
Piersiami w gąszcze trawy wplątany i wbity;
Rozprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,
Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,
Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;
Pjawki Podkomorzego dzierżą go pod uszy:

Z lewej strony Strapczyzna, a z prawej zawisał
Sprawnik, i dusząc gardziel, krew czarną wysysał.

Zaczem Wojski rozkazał kij żelazny włożyć
Psom między zęby, i tak paszczęki roztworzyć.
Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki,
I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

Z KSIĘGI IX-ej.

BITWA.

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,
I, pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody,
Walcą jak bracia, jeden drugiego zachęca.
Dobrzyńscy, widząc jak się Podhajski wykreca
Tuż przed szeregiem jęgrów i kosą ich kraje,
Zawołali z radością: „Niech żyją Podbaje!
Naprzód, bracia Litwini! górą, górą Litwa!”
Skołubowie zaś, widząc, jak waleczny Brzytwa,
Choć ranny, leci z szablą wzniesioną do góry,
Krzyknęli: „Górą Maćki, niech żyją Mazury!”
Dodawszy wzajem serca, biegną na Moskali;
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę jęgrów uderzano z przodu,
Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu.
Przy boku jego stąpił ostrożny Protazy,
A Wojski mu pociechu wydawał rozkazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem,
Wielka, stara sernica, budowana w kratki
Z belek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.
W niej świeciły się białych serów mnogie kopy;

Wkoło zaś wahały się suszące się snopy
Szałwii, benedykty, kardy, macierzanki:
Cała zielna domowa apteka Wojszczanki.
Sernica w górze miała wszecz sążni półczwarta,
A u dołu na jednym wielkim słupie wsparta,
Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy
Pochylił się, bo już był wygnił do połowy,
Groził upadkiem. Nieraz Sędziemu radzono,
Aby zrzucił budowę wiekiem nadwątloną;
Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać,
Anizeli rozrzucać, albo też przestawiać:
Odkładał budowanie do sposobnej pory,
Tymczasem pod słup kazał wetknąć dwie podpory.
Tak pokrzepiona, ale nietrwała budowa
Wyglądała za parkan nad trójkąt Rykowa.

Ku tej sernicy Wojski z Woźnym milczkiem idą,
Każdy zbrojny ogromnym drągiem, jakby dzidą;
Za nimi ochmistrzyni dąży przez konopie
I kuchcik, małe, ale bardzo silne chłopię.
Przyszedłszy, drągi wparli w wierzch słupa nadgnili,
Sami u końców wisząc, pchają z całej siły:
Jako flisy uwięzłą na rapach wicinę
Długimi drągi z brzegu pędzą na głębinę.

Trzasnął słup: już sernica chwieje się i wali
Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali.
Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi,
Krwia i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,
A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,
Siecze Różga, od dworu wpada szlachty tłuszcza,
A Hrabia od bram jazdę na rozpieczchłych puszcza,

Już tylko ośmiu jęgrów z sierżantem na czele
Bronią się. Bieży Klucznik; oni stoją śmieje,
Dziewięć rur wymierzyli prosto w łeb Kluczника;

On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.
Widzi to ksiądz: zabiega Klucznikowi drogę,
Sam pada i podbija Gerwazemu nogę;
Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał,
Ledwie ołów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,
Już wskoczył w dym, dwom jegrom zaraz głowy
zmiata.

Uciekają strwożeni, Klucznik goni, płata;
Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem;
Wpadają we drzwi gumna, stojące otworem,
I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,
Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał:
Bo przeze drzwi jęk słychać, wrzask i gęste razy.
Wkrótce ucichło wszystko. Wyszedł sam Gerwazy
Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierżyła pole,
Porozpędzanych jegrów ściga, rąbie, kole,
Ryków sam został; krzyczy, że broni nie złoży,
Bije się; gdy ku niemu podszedł Podkomorzy,
I wznosząc karabele, rzekł poważnym tonem:
„Kapitanie! nie splamisz cześci Twojej pardonem.
Dałeś próby, rycerzu, nieszcześny, lecz mężny,
Twojej odwagi: porzuć opór niedoleżny,
Złóż broń, nim cię naszymi szablami rozbroim;
Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!”

Ryków, Podkomorzego zwalczony powagą,
Skłonił się i oddał mu swoją szpadę nagą,
Skrwawioną po rękojeść, i rzekł: „Lachy braty!
Oj biada mnie, żem nie miał choć jednej armaty!
Dobrze mówił Suworów: Pomnij, Ryków kamrat,
Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat!
Cóż! jegry byli pijani, Major pieć pozwolił!
Och major Płut, on dzisiaj bardzo poswywolił!
On odpowie przed carem, bo on miał komendę.
Ja, panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę.

Ruskie przysłowie mówi: kto się mocno lubi,
Ten, panie Podkomorzy, i mocno się czubi.
Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki,
Ale przestańcie robić nad jegrami zbytki.“

Podkomorzy, słysząc to, karabełę wznasza
I przez Woźnego pardon powszechny ogłasza:
Każe rannych opatrzyć, z trupów czyścić pole,
A jegrów rozbrojonych prowadzić w niewolę.
Długo szukano Płuta; on w krzaku pokrzywy
Zarywszy się głęboko, leżał jak nieżywy;
Wyszedł wreszcie, ujrzawszy, że było po bitwie.
Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie. *)

Z KSIĘGI X-ej.

EMIGRACJA.

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione,
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obiegło
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej:
Aż jedną stroną nawpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerek rozpостarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.

*) Bywały później jeszcze zajazdy, lubo nie tak sławne, dosyć jednak głośnie i krwawe. Około roku 1817 obywatel U..., w województwie Nowogrodzkim, pobił na zajezdzie cały garnizon nowogrodzki i dowódców zabrał w niewolę.

I łany zbóż, co wprzód kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi,
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo, najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwiej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długimi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz, jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów sybilskiej Nijoby,
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając stawę, do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;
Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.
Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;
Tylko wrony, stadami obścapiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli:
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze,
Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym zuchwała
Jaskółka, czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owej chwili
Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli,
I chronią się gromadnie w domy i stodoły,
Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywiły
Stoczą walkę.

Na zachód jeszcze ozłocona
Ziemia świeci ponuro, żółtawo-czerwona;
Już chmura, rozłaczając cienie nakształt sieci,
Wylawia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się wpoły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krażą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łożach i trawach:
Pryskają łoż gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemiu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom
w oczy.

Co krok wszereż wydyma się, roztwiera ku górze —
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę.
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie...

A już deszcz wciąż pluszczy,
Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtem rykły pioruny,
Krople zlały się razem: to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosą do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosą i ziemią:
Noc je z burzą, od nocy czarniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I Anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,

Rozświeci twarz i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmagą się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.
Aż się uspokoiło wszystko. Tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

W takim dniu pożądanym był czas najburzliwszy
Bo nawałnica, boju plac mrokiem okrywały.
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,
Z folwarku niedostępną zrobiła fortecę.
O tem więc, co się działo w obozie Soplicy,
Dziś nie mogła rozejść się wieść po okolicy:
A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.

*

W izbie Sędziego ważne toczą się narady.
Bernardyn leżał w łóżku; zmordowany, blade
I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle,
Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.
Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,
Każe przywieść Rykova, potem drzwi zamyka.
Godzinę całą trwały tajemne rozmowy,
Aż je przerwał kapitan Ryków temi słowy,
Rzucając na stół kiesę, ciężką dukatami:
„Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami,
Że każdy Moskal złodziej: powiedzcież, kto spyta,
Że znaliście Moskala, który, zwan Nikita
Nikitycz Ryków, rotny kapitan, miał osim
Medalów i trzy krzyże — to pamiętać prosim:
Ten medal za Oczaków, ten za Izmańów,
Ten za bitwę pod Nowi, ten za Prejsisz-Iłów,
Tamtę za Korsakowa sławną rejteradę
Z pod Zurich; a miał także i za męstwo szpadę,

Także od feldmarszałka trzy zadowolenia,
Dwie pochwały cesarskie i cztery wspomnienia,
Wszystko na piśmie...

„Ale, ale, kapitanie,
Przerwał Robak, i cóż się wtedy z nami stanie,
Jeśli nie chcesz zgodzić się? Wszakże dałeś słowo
Załatwić tę rzecz...”

„Prawda, słowo dam na nowo,
Rzecz Ryków, ot słowo! Co po waszej zgubie?
Ja człek poczciwy, ja was, państwo Lachy, lubię,
Że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki.
I także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki.
U nas ruskie przysłowie: kto na wozie jedzie,
Bywa często pod wozem; kto dzisiaj na przedzie,
Jutro w tyle; dziś bijesz, jutro ciebie biją;
Czy o to gniew? tak u nas po żołniersku żyją.
Skądby się człowiekowi tyle złości wzięło
Gniewać się o przegraną! Oczakowskie dzieło
Było krwawe, pod Zurich zbili nam piechotę,
Pod Austerlicem całą utraciłem rotę.
A pierwej wasz Kościuszko pod Racławicami, —
Byłem sierżantem — wysiekl mój pluton kosami:
I cóż stąd? To ja znowu u Maciejowicw
Zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych

szlacheiców:

Jeden był Mokronowski, szedł z kosą przed frontem,
I kanonierowi uciął rękę z lontem.

Oj! wy Lachy! Ojczyzna! ja to wszystko czuję,
Ja Ryków: Car tak każe, a ja was żałuję,
Co nam do Lachów? Niechaj Moskwa dla Moskala,
Polska dla Lacha; ale cóż? Car nie pozwala”.

Sędzia mu na to rzecze: „Panie kapitanie,
Żeś człek poczciwy, wiedzą to wszyscy ziemianie,
U których na kwaterach stałeś od lat wielu.
Za ten dar nie gniewaj się, dobry przyjacielu:

Nie chcieliśmy cię skrzywdzić: te oto dukaty
Śmialiśmy złożyć, wielząc, żeś człek niebogaty“.

„Ach jegry! — wołał Ryków — cała rota skłuta!
Moja rota! a wszystko z winy tego Płuta!
On komendant, on za to przed carem odpowie,
A wy te grosze sobie zabierzcie, panowie;
U mnie jest kapitański mój żołd ladajaki,
A dosyć mnie na ponczyk i lulkę tabaki.
A was lubię, że z wami sobie zjem, popiję,
Pohulam, pogawędzę, i tak sobie żyję.
Oto ja was obronię, i jak będzie śledztwo,
Słowo uczciwe, że dam za wami świadectwo.
Powieśmy, że my przyszli tu z wizytą, pili
Sobie, tańczyli, trochę sobie podchmielili,
A Płut przypadkiem ognia zakomenderował,
Bitwa — i bataljon tak jakoś zmarnował.
Wy pany tylko śledztwo pomazujcie złotem,
Będzie kręcić się. Ale teraz powiem o tem,
Co już mówiłem temu szlachcicu, co długi
Ma rapier, że Płut pierwszy komendant, ja drugi:
Płut został żywy, może on wam zagiąć kruczka
Takiego, że zginiecie, bo to chytra sztuczka;
Trzeba mu gębę zatkać bankowym papierem.
No i cóż, panie szlachcic, ty z długim rapierem,
Czy już byłeś u Płuta, czyś się z nim naradził?“

Gerwazy obejrzał się, łysinę pogładził,
Kiwnął niedbale ręką, jak gdyby znać dawał,
Że już wszystko załatwił. Lecz Ryków nastawał:
„Cóż, czy Płut będzie milczeć, czy słowem zaręczył?“
Klucznik, zły, że go Ryków pytaniami dręczył,
Poważnie palec wielki ku ziemi nagiął,
A potem machnął ręką, jak gdyby przecinał
Dalszą rozmowę, i rzekł: „Klnę się seyzorykiem,
Że Płut nie wyda! gadać już nie będzie z nikim!...“

Potem dłonie opuścił i palcami chrząsnął,
Jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsnął.

Ten ciemny gest pojęli słuchacze, i stali
Patrząc z dziwem na siebie, wzajem się badali,
I posępne milczenie trwało minut kilka.
Aż Ryków rzekł: „Nosił wilk, ponieśli i wilka!”
„Requiescat in pace“, dodał Podkomorzy.
„Już-ci, zakończył Sędzia, był w tem palec Boży!
Lecz ja tej krwi nie winien, jam o tem nie wiedział“.

Ksiądz porwał się z poduszek i posępny siedział,
Nakoniec rzekł, spojrzawszy bystro na klucznika:
„Wielki grzech bezbronnego zabić niewolnika!
Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem!
Oj kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem.
Jedna jest restrykcja: jeśli popełniono
Nie z zemsty głupiej, ale pro publico bono“.
Klucznik głową i ręką kiwał wyciągnioną,
I mrugając, powtarzał: „Pro publico bono!“

Więcej nie było mowy o Płucie mojarze,
Nazajutrz go daremnie szukano we dworze,
Daremnie wyznaczono za trupa nagrodę:
Major zginął bez śladu, jak gdyby wpadł w wodę.
Co się z nim stało? — różnie powiadano o tem,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem.
Daremnie pytaniami klucznika dręczono:
Nic nie wyrzekł, prócz tych słów: „Pro publico bono“.
Wojski był w tajemnicy, lecz słowem ujęty
Honorowem, staruszek milczał jak zakłęty.

Po zawarciu układów wyszedł z izby Ryków,
A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,
Do których Podkomorzy z powagą tak mówi:
„Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi;
Ale muszę Waćpaństwu wyznać bez ogródki,

Że z tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki.
Zbłądziliśmy, i nikt tu z nas nie jest bez winy:
Ksiądz Robak, że zbyt czynnie rozszerzał nowiny,
Klucznik i szlachta, że je pojęła opacznie.
Wojna z Rosją jeszcze nie prędko się zacznie;
Tymczasem, kto miał udział najczynniejszy w bitwie,
Ten nie może bezpieczny zostać się na Litwie:
Musicie więc do Księstwa uciekać, panowie,
A mianowicie Maciej, co się Chrzyciel zowie,
Tadeusz, Konew, Brzytew, niech unoszą głowy
Za Niemen, gdzie ich czeka zastęp narodowy.
My na was nieobecnych całą winę zwalim
I na Płuta: tak resztę rodzeństwa ocalim.
Żegnam was nie na długo: są pewne nadzieje,
Że nam z wiosną swobody zorza zajaśnieje,
I Litwa, co was teraz żegna jak tułaczy,
Wkrótce jako zwycięskich swych zbawców zobaczy.
Sędzia wszystko, co trzeba, zgotuje na drogę, —
A ja pieniędzmi, ile zdołam, dopomogę“.

Czuła szlachta, że mądrze Podkomorzy radził:
Wiadomo, że kto z ruskim carem raz się zwadził,
Ten już z nim na tej ziemi nie zgodzi się szczerze,
I musi albo bić się, albo gnąć w Sybirze.
Więc, nic nie mówiąc, smutnie po sobie spojrzeli,
Westchnęli — na znak zgody głowami skinęli.

Z KSIĘGI XI-ej.

ROK 1812.

Wróżby wiosenne. — Wkroczenie wojsk.

O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju?
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy

O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
Ogarneło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed światła końcem,
Jakieś oczekiwania tęskne i radosne...

Kiedy pierwszy raz było wygnano na wiosnę,
Uważano, że, chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń, co już umiała grudę *),
Lecz kładło się na rolę i, schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę plugi,
Nie cieszą się, jak zwykle, z końca zimy długiej,
Nie śpiewają piosenek: pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
Co krok wstrzymują woły z podjezdki w bronie,
I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie.
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki —
I uważają z trwogą wracające ptaki.

Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim, krzykliwemi nadciągnawszy pułki,
Gromadziły się ponad wodami jaskółki
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słomki
I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem,
I znużone, na popas spadają z hałasem,
A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żórawie.
Słyszac to, nocni stróże pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześniej wygania?

*) Ruń, jest to zieleniejąca się ozimina.

Aż oto nowe stada: jakby gilów, siewek
I szpaków, stada jesnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pułk za pułkiem; a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazne szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na Północ! Rzekłbyś, że wonczas z wyraju *
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktowną mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie luno,
Ziemia drży, słysząc: biją strunami pioruny...

Wojna! wojna!... Nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiedzy ciemnymi
Puszczami, chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników;
Teraz widzi: na niebie dziwna luna pała,
W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodac sędziwy,
Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera,
I, potrząsając brodą, zdziwiony spoziera

*) Wyraj, w mowie gminnej znaczy właściwie czas
jesienny, kiedy ptaki wędrowne odlatują; lecieć na wyraj,
jest to lecieć w kraje ciepłe. Stąd przenośnie nazywa lud
wyrajem kraje ciepłe, i w szczególności jakieś kraje bajecz-
ne, szczęśliwe, za morzami leżące.

Na błyskające nagle między łodem zgłiszcze:
Był to zbłąkany granat — kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem, jakby piorun; zęb, pierwszy raz w
życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu.

„Bitwa!... Gdzie? w której stronie?“ — pytają
młodzieńce,
Chwytają broń; kobiety wznoszą w niebo ręce;
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
„Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!“

O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!...
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu!

*

Soplicowo leżało tuż przy wielkiej drodze,
Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:
Nasz książę Józef i król westfalski Hieronim.
Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim:
Gdy król rozkazał wojsku dać trzy dni wytchnienia.
Ale polscy żołnierze, mimo utrudzenia,
Skarżyli się, że król im marszu nie dozwala,
Tak radziby coprędzej doścignąć Moskale.

W mieście pobliskiem stanął główny sztab książęcy,
A w Soplicowie obóz czterdziestu tysięcy,
I ze sztabami swemi generał Dąbrowski,
Kniaziewicz, Małachowski, Giedrojc i Grabowski.

Późno było gdy weszli: więc każdy, gdzie może,
Zabierają kwatery w zamczysku, we dworze.

Skoro dano rozkazy, rozstawiono czaty,
Każdy strudzony poszedł spać do swej komnaty.
Z nocą wszystko ucichło: obóz, dwór i pole;
Widać tylko, jak cienie, błędzące patrole,
I gdzieś błyskania ognisk obozowych,
Słychać kolejne hasła stanowisk wojskowych.

Spali: gospodarz domu, wodze i żołnierze;
Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze.
Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,
Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wsławić;
Biesiadę, godną miłych sercom polskim gości,
I odpowiednią wielkiej dnia uroczystości.
Co jest świętem kościelnem i świętem rodziny:
Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny.
Zaś generał Dąbrowski oświadczył z wieczora,
Że chce mieć obiad polski.

Choć spóźniona pora,
Wojski zebrał co prędzej z sąsiedztwa kucharzy:
Pięciu ich było; służą, on sam gospodarzy.
Jak kuchmistrz białym się fartuchem opasał,
Wdział szlafmycę, a ręce do łokciów zakasał,
W rękę ma plackę muszą, owad ładajaki
Odpędza, wpadający chciwie na przysmaki;
Drugą ręką przetarte okulary włożył,
Dobyl z zanadru księgę, odwinął, otworzył.

Księga ta miała tytuł: „*Kucharz doskonały*“.*)
W niej spisane dokładnie wszystkie specyjały
Stołów polskich; podług niej Hrabia na Tęczyńie
Dawał owe biesiady, we włoskiej krainie,
Którym się Ojciec Święty Urban Ósmy dziwił;**)

*) Książka teraz bardzo rzadka, przed stukilkudziesięciu laty wydana przez Stanisława Czernieckiego.

**) Opisywano wielokrotnie i malowano ową legację rzymską. Ob. „*Kucharz doskonały*“. przemowa: „Ta legacja

Podług niej później Karol-Kochanku Radziwiłł,
Gdy przyjmował w Nieświeżu króla Stanisława,
Sprawił pamiętą ową ucztę, której sława
Dotąd żyje na Litwie we gminnej powieści.

Co Wojski wyczytawszy, pojmie i obwieści,
To natychmiast kucharze robią umiejętni.
Wre robota; pięćdziesiąt nożów w stoły tętni,
Zwijają się kuchciki czarne jak szatany:
Ci niosą drwa, ci z mlekiem i z winem sagany;
Leją w kotły, skowrody, w rądle. Dym wybucha;
Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszkidmucha;

Wojski, ażeby ogień tem łacniej rozpałać,
Rozkazał stopionego masła na drwa nalać
(Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu).
Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu;
Inni na różny sadzą ogromne pieczenie
Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;
Ci skubią stopy ptactwa, lecą puchów chmury,
Obnażają się głuszce, cietrzewie i kury.
Lecz kur niewiele było; od owej wyprawy,
Którą w czasie zajazdu, Dobrzyński Sak krwawy
Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo
Zniszczył, nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo —
Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąć na nowo
Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.
Zresztą zaś mięs wszelakich był wielki dostatek,
Co się zgromadzić dało i z domu i z jatek,
I z lasów i z sąsiedztwa, zbliska i zdaleka:
Rzekłbyś, ptasiego tylko nie dostaje mleka.

wszystkiemu zachodniemu Państwu wielkiem będąc podziwieniem, ogłosiła w rozum nieprzebranego Pana jako i splendor domu i apparament stołu..., że jeden z książąt rzymskich rzekł: „Dziś Rzym szczęśliwy, mając „takiego Połta“. — N. B. Czerniecki sam był kuchmistrem Ossolińskiego.

Dwie rzeczy, których hojny pan do uczy szuka,
Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.

*

Już goście, zgromadzeni w wielkiej zamku sali,
Czekając uczy, wkoło stołu rozmawiali,
Gdy pan Sędzia w mundurze wojewódzkim wchodzi
I pana Tadeusza z Zofiją przywodzi.
Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,
Pozdrowił swych dowódców przez ukłon wojskowy;
Zofja z opuszczonem ku ziemi wejrzeniem,
Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem
(Od Telimeny pięknie dygać wyuczona).
Miała wianek na głowie, jako narzeczona,
Zresztą ubiór ten samy, w jakim dziś w kaplicy
Składała snop wiosenny dla Boga-Rodzicy.
Uzięła znów dla gości nowy snopek ziela;
Jedną ręką zeń kwiaty i trawy rozdziela,
Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie.
Brali ziółka, całując jej ręce, wodzowie;
Zosia znowu dygała w kolej, zapłoniona.

Wtem Jenerał Kniaziewicz wziął ją za ramiona
I, złożyweszy ojcowski całus na jej czole,
Podniósł w górę dziewczynę, postawił na stole,
A wszyscy, klaszcząc w dłonie, zawołali: „Brawo!”
Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,
A szczególnie jej strojem litewskim, prostaczym:
Bo dla tych wodzów, którzy w swem życiu tułaczem
Tak długo błakali się w obcych stronach świata,
Dziwne miała powaby narodowa szata,
Która im wspominała i młode ich lata
I dawne ich miłostki. Więc ze łzami prawie
Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.
Ci proszą, aby Zosia wzniosła nieco czoło
I oczy pokazała: ci, ażeby wkoło
Raczyła się obrócić; dziewczyna wstydliva

braca się, lecz oczy rękami zakrywa.
Fadeusz patrzył wesół i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiej sukience,
Czy instynktem wiedziała (bo dziewczyna zgadnie
Zawsze instynktem, co jej do twarzy przypadnie):
Wosyć że Zosia pierwszy raz w życiu dziś z rana
Wzięła od Telimeny za upór łajana.
Nie chcąc modnego stroju, aż wymogła płaczem,
Że ją tak zostawiono — w ubraniu prostaczem.

Spódniczkę miała długą, białą; suknię krótką
Z zielonego kamlotu z różową obwódką;
Gorset także zielony, różowemi wstęgi
Od łona aż do szyi sznurowany w pęgi;
Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.
Od ramion świecą białe rękawy koszuli,
Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,
U dłoni skarbowane i wstążką opięte.
Szyja także koszulką obciśniona wąską,
Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiązką;
Zauszniczki wyrzniete sztucznie z pestek wiśni,
Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni
(Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem,
Dane dla Zosi, gdy Sak był jej zalotnikiem):
Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,
Na skroniach zielonego wianek rozmarynu;
Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,
A na czoło włożyła, zwyczajem żniwiarki,
Sierp krzywy, świeżem żęciem traw oszlifowany,
Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyany.

Wszyscy chwalą, klaskają. Jeden z oficerów
Dobyl z kieszeni *portefeuille* z plikami papierów,
Rozłożył je, ołówek przyciął, w ustach zmoczył,
Patrzy w Zosię, rysuje. Ledwie Sędzia zoczył
Papiery i ołówki, poznał rysownika,

Choć go bardo odmienił mundur pułkownika,
Bogate szlify, mina prawdziwie ułańska,
I wąsik poczerniony i bródka hiszpańska.
Sędzia poznał: „Jak się masz, mój Jaśnie Wielmożny
Hrabio? i w ładownicy masz twój sprzęt podróżny
Do malarstwa!...” W istocie, był to Hrabia młody,
Niedawny żołnierz; lecz że wielkie miał dochody
I swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił,
I w pierwszej zaraz bitwie wybornie się sprawił,
Cesarz go pułkownikiem dziś właśnie mianował;
Więc Sędzia witał Hrabie i rangi winszował,
Ale Hrabia nie słuchał, a pilnie rysował.

Tymczasem weszła druga para narzeczona:
Asesor niegdyś cara, dziś Napoleona
Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komendzie,
A choć ledwie dwadzieścia godzin był w urzędzie,
Już włożył mundur siny z polskimi wyłogi
I ciągnął krzywą szablę i dzwonił w ostrogi.
Obok poważnym krokiem szła jego kochanka,
Ubrana bardzo strojnie, Tekla Hreczeszanka;
Bo Asesor już dawno Telimenę rzucił,
I aby tę kokietkę tem mocniej zasmucił,
Ku Wojszczance afekty serdeczne obrócił.
Panna nie nadto młoda, już pono półwieczna,
Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna
I posażna: bo oprócz swej dziedzicznej wioski,
Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski.

Trzeciej pary daremnie czekają czas długi.
Sędzia niecierpliwi się i wysyła sługi;
Wracają, powiadają, że trzeci małżonek,
Pan Rejent, szczując kota, zgubił swój pierścionek
Ślubny, szuka na łące; a Rejenta dama
Jeszcze u gotowalni, choć śpieszy się sama
I choć jej pomagają służebne kobiety,
Nie mogła w żaden sposób skończyć toalety;
Ledwie będzie gotowa na godzinę czwartą.

Z KSIĘGI XII-ej.
KOCHAJMY SIĘ.

Ostatnia uczta staropolska. — Arcy-serwis. — Koncert nad koncertami. — Polonez. — Kochajmy się.

Nakoniec z trzaskiem sali drzwi nawściąg otwarto.
Wchodzi pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze:
Bo Wojski występuje w nowym charakterze —
Marszałka dworu. Laskę ma na znak urzędu
I tą laską z kolei, jako mistrz obrzędu,
Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.
Naprzód, jako najpierwsza województwa władza,
Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne,
Ze słoniowym poręczem krzesło aksamitne;
Obok, na prawej stronie, Jenerał Dąbrowski.
Na lewej siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski;
Śród nich Podkomorzyna, dalej inne panie,
Oficerowie, pany, szlachta i ziemianie,
Mężczyźni i kobiety, naprzemian po parze,
Usiadają porządkiem gdzie Wojski ukaże.

Pan Sędzia, skłoniwszy się, opuścił biesiadę.
On na dziedzińcu włościan traktował gromadę;
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim.
Sam siadł na jednym końcu, a Pleban na drugim.
Tadeusz i Zofija do stołu nie siedli:
Zajęci częstowaniem włościan, chodząc jedli.
Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi
Na pierwszej uczcie sami służyli ludowi.

Tymczasem goście, potraw czekający w sali,
Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,
Którego równie drogi kruszec jak robota.
Jest podanie, że książę Radziwiłł-Sierota *)

*) Radziwiłł-Sierota odbył dalekie podróże i wydał opis peregrynacji swojej do Ziemi Świętej.

Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić
I wedle własnych planów po polsku ozdobić.
Serwis, potem zabrany czasu wojny szwedzkiej,
Przeszedł, nie wiedzieć jaką drogą, w dom szlachecki;
Dziś, ze skarbca dobyte, zajął środek stoła
Ogromnym kręgiem, nakszałt karetnego koła.

Serwis ten był nalany ode dna po brzegi
Piankami i cukrami białemi, jak śniegi:
Udawał przewybornie krajobraz zimowy.
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
Okryte, zamiast sronu, cukrowemi pianki;
Na krawędziach naczyń stały, dla ozdoby,
Niewielkie z porcelany wydęte osoby
W polskich strojach: jakoby aktorzy na scenie,
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
Tylko głosu im braknie — zresztą gdyby żywe.

*

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
(Jankiel przez całą zimę niewiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie, i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drażki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni,
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,
I dygając: „Jankielu — mówi — jeśli łaska,
Wszak to me zaręczyny: zagrajże, Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu?”

Jankiel niezmiernie Zosię lubił: kiwnął brodą
Na znak, że nie odmawia: więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą, jak weteran, w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany:
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją nanowo struny i próbując brzęczą;
Jankiel, z przymrużonemi na poły oczyma,
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.

Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawałnym:
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba;
Bo wnet przerwał, i w górę podniósł drążki oba.

Znowu gra. Już drżą drążki tak lekkimi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwo słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumnem okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiele
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonekami, z zelami, z bębenki:
Brzmi *Polonez Trzeciego Maja!*... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją.
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się
uniosły,

W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali

Zgodzonego z narodem króla fetowali,
Gdy przy tańcu śpiewano: *Wiwat król kochany!*
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!

Mistrz coraz takty nagli i tony nateża;
A wtem, puścił fałszywy akord, jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich
dreszczem
I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem...

Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyę zmaca,
Coraz głośniej targając akord rozdasany,
Przeciwno zgodzie tonów skonfederowany;
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: „Znam! znam głos ten! to jest *Targowica!*“
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaca, —
Porzuca prymy, bieży z drażkami do basów;
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów;
Takt marszu, wojna, atak, szturm — słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonalił
Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały.
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści;
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkimi
Zagrzmiał, i głos zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów, zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej,
Lecz strun coraz przybywa: Już rozpierzchnęły tony
Łączą się i w akordów wiążą legjony,

I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żalną tej sławnej piosenki.
O żołnierzu tulaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają: wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata
Po łądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, — gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy...
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy.

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Nateża, takty zmienia: coś innego głosi.
I znowu spojrzął z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: „*Jeszcze Polska nie zginęła,
Marsz Dąbrowski do Polski!*...” I wszyscy klasnęli,
I wszyscy „Marsz Dąbrowski” chórem okrzyknęli!

Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca;
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił:
„Jenerale, — rzekł, — ciebie długo Litwa nasza

Czekała, — długo, jak my Żydzi Messyjasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...
Żyj i wojuj, o, ty nasz!...“ Mówiąc, ciągle szlochał:
Żyd poczcziwy Ojczyznę, jako Polak, kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On, czapkę zdjawszy, wodza rękę ucałował.

Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza,
I zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wasa podkręcając, podał rękę Zosi,
I skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec: — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia,
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać.
Pochylił ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha,
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie.
On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi,
I zaśmiał się na koniec; rad z jej odpowiedzi,
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów z góry,
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i podkręcił wasa.
Idzie: wszyscy zazdroszczą, biegną w jego ślady.
On rad by ze swą damą wymknąć się z gromady:
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
I, żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszków zmylić,

Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty
I zawszad obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawieć na rękojeść składa,
Jakby rzekł: „Nie dbam o was, zazdrośnikom biada!”
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku
Prosto w tłum: tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi, i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim...

Brznią zewsząd okrzyki:
„Ach to może ostatni! — patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodził!”
I szły pary po parach hucznie i wesoło;
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieniami zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wężgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Tylko kapral Dobrzyński Sak ani kapeli
Nie słucha, ani tańczy, ani się weseli,
Ręce w tył założywszy, stoi zły, ponury,
Wspomina swe dawniejsze do Zosi konkury:
Jak lubił dla niej nosić kwiaty, pleść koszyczki,
Wybierać gniazda ptasie, robić zauszniczki.
Niewdzięczna! Choć tyle pięknych darów trwonił,
Choć przed nim uciekała, choć mu ojciec bronił:
On jeszcze! ileż razy na parkanie siadał,
By ją dojrzeć przez okna, w konopie się wkładał,
Żeby patrzeć, jak ona pleła swe ogródki,
Rwała ogórki, albo karmiła kogutki!
Niewdzięczna!... Spuścił głowę, i nakoniec świsnął
Mazurka; potem kaszkiet na uszy nacisnął
I szedł w obóz, gdzie stała przy armatach warta.
Tam dla rozerwania się zaczął grać w drużbarta

Z wiarusami, kielichem osładzając żalność.
Taka była dla Zosi Dobrzyńskiego stałość.

Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszej parze,
Ledwie widna z daleka. Na wielkim obszarze
Zarosłego dziedzińca, w zielonej sukience,
Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,
Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,
Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem.
Zgadniesz gdzie jest: bo ku niej obrócone oczy,
Wyciągnięte ramiona, ku niej zgiełk się tłoczy.
Darmo się Podkomorzy zostać przy niej sili:
Zazdrośnicy już z pierwszej pary go odbili;
I szczęśliwy Dąbrowski nie długo się cieszył;
I ustąpił ją drugiemu; a już trzeci śpieszył;
I ten zaraz odbity, odszedł bez nadziei.
Aż Zosia, już strudzona, spotkała z kolei
Tadeusza, i dalszej lękając się zmiany
I chcąc przy nim pozostać, zakończyła tany.
Idzie do stołu gościom nalewać kielichy.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy, —
Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany;
Chmurki wróżą pogodę: lekkie i świecące,
Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,
Ówdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek;
Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfaldowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy, —
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
I raz ciepłym powiewem westchnąwszy, usnęło.

A szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,
Wreszcie z kolei wszystkich trzech par zaręczonych,
Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszonych,

Wszystkich przyjaciół, których kto żywy spamięta,
I których, zmarłych, pamięć pozostała święta!...

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał — w księgi umieściłem.

EPILOG.

O czem tu dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów?...

Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy
Łękliwie nieśli za granicę głowy!
Bo, gdzie stąpili, szła za nimi trwoga,
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga;
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha
I każą oddać co najprędzej ducha.

A gdy na żale ten świat nie ma ucha,
Gdy ich co chwila nowina przeraża,
Bijąca z Polski, jako dzwon cmentarza,
Gdy im prędkiego zgonu życzą strażę,
Wrogi ich wabią zdala, jak grabarze!
Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą —
Nie dziw, że ludzi, świat, siebie ohydzą,
Że, utraciwszy rozum w mękach długich,
Plwają na siebie i żrą jedni drugich!

*

Chciałem pominąć, ptak małego lotu,
Pominąć strefy ulew i grzmotu,
I szukać tylko cienia i pogody:
Wieki dzieciństwa, domowe zagrody...

Jedynie szczęście: kto, w szarej godzinie,
Z kilku przyjaciół siadłszy przy kominie,
Drzwi od Europy zamykał hałasów,
Wyrwał się myślą do szczęśliwych czasów
I dumał, marzył o swojej krainie...

Ale o krwi tej, co się świeżo lała,
O łzach, któremi płynie Polska cała,
O sławie, która jeszcze nie przebrzmiała —
O nich pomyśleć nie mieliśmy duszy...
Bo naród bywa na takiej katuszy,
Że, kiedy zwróci wzrok ku jego męce,
Nawet Odwaga załamuje ręce...

*

Te pokolenia, żałobami czarne,
Powietrze tyłą kłatwami ciężarne —
Tam myśl nie śmiała swoich zwrócić lotów,
W sferę, okropną nawet ptakom grzmotów!

*

O, Matko Polsko! Ty, tak świeżo w grobie
Złożona... Niemasz sił mówić o tobie!...
Ach! czyjeż usta śmiały pochlebiać sobie,
Że znajdą dzisiaj to czarowne słowo,
Które rozczuli rozpacz marmurową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,
Rozwiąże oczy, tyłą łez brzemienne?...

Kiedyś... gdy zemsty lwie przehuczą ryki,
Przebrzmi głos trąby, przełamią się szyki,
Gdy orły nasze lotem błyskawicy
Spadną u dawnej Chrobrego granicy,
Ciał się najedzą, krwią całe opłyną
I skrzydła wreszcie na spoczynek zwiną —
Gdy wróg ostatni wyda krzyk boleści,

Umilknie, światu swobodę obwieści —
Wtenczas, dębowym liściem uwieńczeni,
Rzuciwszy miecze, siedą rozbrojeni
Rycerze nasi słuchać o przeszłości;
Wtenczas zapłaczą nad ojców losami
I wtenczas łza ta ich lica nie splami.

Dziś dla nas, w świecie nieproszonych gości,
W całej przeszłości i w całej przyszłości
Jedna już tylko jest kraina taka,
W której jest trochę szczęścia dla Polaka:
Kraj lat dziecinnych!... On zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,
Nie zaburzony błędów przypomnieniem,
Nie podkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Te kraje radbym myślami powitał,
Gdziem rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał,
Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie
Biegł jak po łące, a znał tylko kwiecie
Miłe i piękne; jadowite rzucił,
Ku pożytecznym oka nie odwrócił.

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on jest nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało,
Jak pomnim wszystko, co nas otaczało:
Od lipy, która koroną wspaniała
Całej wsi dzieciom używała cienia,
Aż do każdego strumienia, kamienia —
Jak każdy kątek ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy!

A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tyle nam tylko pamiątki zostawił,

Ze był w błyszczącym i pięknym mundurze,
Bo węża — tylko znaleźmy po skórze...

I tylko krajów tych obywatele
Jedni zostali wierni przyjaciele,
Jedni dotychczas sprzymierzeńcy pewni!
Bo któż tam mieszkał? Matka, bracia, krewni,
Sąsiedzi dobrzy... Kogo z nich ubyło,
Jakże tam o nim czule się mówiło!
Ile pamiątek, jaka żalność długa,
Tam, gdzie do pana przywiązańszy sługa,
Niż w innych krajach małżonka do męża;
Gdzie żołnierz dłużej żałuje oręza,
Niż tu syn ojca; po psie płaczą szczerze
I dłużej, niż tu lud po bohaterze...

I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie,
I do pieśni rzucali mi słowo po słowie,
Jak bajeczne zórawie na dzikim ostrowie,
Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną.
I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
Każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił,
On zrobił skrzydła — i do swoich wrócił...

*

O, gdybym kiedy dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy!
Żeby wieśniaczki, kręcąc kołowrotki,
Gdy odśpiewają ulubione zwrotki
O tej dziewczynie, co, tak grać lubiła,
Że przy skrzypeczkach gąski pogubiła, —
O tej sierocie, co, piękna jak zorze,
Zaganiać gąski szła w wieczornej porze, —
Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi, proste jako ich piosenki!

Tak za dni moich, przy wiejskiej zabawie
Czytano nieraz pod lipą na trawie

Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie!
A przy stoliku drzemiący pan wódarz,
Albo ekonom, lub nawet gospodarz
Nie bronił czytać, i sam słuchać raczył,
I młodszym rzeczy trudniejsze tłumaczył,
Chwalił piękności, a błędom wybaczył.

I zazdrościła młodzież wieszczów sławie,
Która tam dotąd brzmi w lasach i w polu,
I którym droższy, niż laur Kapitolu,
Wianek, rękami wieśniaczki osnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty...

(Paryż, wiosną r. 1834).



Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Bardzo dużą rolę w kosmetyce odgrywa puder. Wybór pudru jest tem trudniejszy, że bardzo wiele pudrów zawiera metale, które działają ujemnie na cerę. Pozatem prawie wszystkie pudry zagraniczne są tłuste i, choć przyjemne w użyciu, zatykają pory w skórze, przez co utrudniają transpirację, sprzyjając tworzeniu się tak zwanej tłustej cery, wągrów, pryszczycy i t. d. Pudry, które zawierają metale (bismut, ołów i t. d.) po kilku latach użycia nadają cerze szaro-żółte zabarwienie. Dlatego przy wyborze pudru trzeba być bardzo ostrożną. Ponieważ zagraniczne fabryki nie podają składu swoich pudrów, przeto polecam puder, który wypróbowałam od lat 30, i którego zbawienne działanie na cerę mogłam stwierdzić niejednokrotnie. Jest to *puder Abarid*, który nie zawiera żadnych metali, a składa się z części roślinnych, zawiera między innymi sproszkowane części lilji białej (*Lilja Candida*), które już w zamierzchłej przeszłości były używane przez ówczesne elegantki, które dbały o zachowanie świeżej, idealnej cery.

M-me ERCÉDES.

Skład główny: Perfumerja Perfection, Szpitalna 10, w Warszawie.

SPIS RZECZY.

	str.
Słowo o Twórcy „Pana Tadeusza”	5
<i>Ballady i romanse:</i>	
Pierwiosnek	18
Romantyczność	20
Świtez	22
Trzech Budrysów	29
<i>Sonety:</i>	
Ranek i wieczór	32
Do Niemna	32
Strzelec	33
Exkuza	34
<i>Sonety Krymskie:</i>	
Stepy akermańskie	36
Cisza morską	36
Burza	37
Czatyrdah	38
Pielgrzym	38
<i>Wiersze różne:</i>	
Oda do młodości	42
Pieśń Filaretów	44
Do matki-Polki	46
Reduta Ordona	48
„Grażyna”, powieść litewska (wyjątki)	54
„Konrad Wallenrod” (wyjątki):	
Powieść Wajdeloty	62
„Dziady”. Część III (wyjątki):	75
Przedmowa	76
Prolog — w celi więziennej	80
Opowiadanie Sobolewskiego	86
Improwizacja	90
Cela ks. Piotra	102
„Pan Tadeusz” (fragmenty).	105
Epilog	151

SZANOWNI CZYTELNICY!

Redakcja „Biblioteki Domu Polskiego“ dla swych Czytelników uzyskała 25% zniżkę od tygodnika „Ilustracji“ w Warszawie.

Tygodnik „Ilustracja“ istnieje już drugi rok i, jako ilustrowany światowy przegląd tygodniowy, cieszy się wielką popularnością wśród wszystkich sfer społeczeństwa.

Każdy numer zawiera 16-cie stron dużego formatu. Na ciekawą i urozmaiconą treść składają się liczne fotografie z życia stolicy, wypadków politycznych w kraju i zagranicą, sprawozdania teatralne, mody i t.d.

Sztab własnych fotografów we wszystkich miejscowościach kraju i zagranicą pozwala redakcji tygodnika „Ilustracja“ na możliwie najszybsze podawanie zdjęć.

Prenumerata tygodnika „Ilustracji“ wynosi 2 zł. 50 gr., dla Czytelników zaś „Biblioteki Domu Polskiego“ tylko

1 zł. 90 gr. — miesięcznie.

Przesyłając należność za prenumeratę „Ilustracji“ (konto P. K. O. № 9622, Warszawa ul. Mazowiecka 4) — w celu otrzymania zniżki — należy powołać się na numer abonamentu „Biblioteki Domu Polskiego“.

Mamy nadzieję, że Szanowni Czytelnicy nasi przyjmą inowację z zadowoleniem.

Wydawnictwo

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO.

O B U W I E N A R A T Y

„EDWARD”

Marszałkowska Nr. 67 (w podwórzu).

Dla zrzeszeń urzędniczych i kooperatyw warunki specjalne.
Powołujący się na niniejsze ogłoszenia otrzyma 20% rabatu.



WYJAZD DO WARSZAWY ZBYTECZNY.

Za nadesłaniem zł. 5 udzielamy wyczerpujących informacji o stanie spraw patenta w Ministerstwach, wszelkich Instytucjach Państwowych, samorządowych, prywatnych oraz wszelkich informacyj z dziedziny przemysłu, handlu, rolnictwa i finansów. Windykujemy weksle i sumy wszelkiego rodzaju zobowiązań, Biuro Zleceń, Warszawa, Żórawia 47, mieszk. 14.
Telefon 306-77.

TAJEMNICA ODMŁADZANIA

polega na stosowaniu epokowego wynalazku, jakim jest krem fizjologiczny **TALMA**. Stosowany przez panie bez różnicy wieku, sprawia, że cera nabiera młodzieńczej świeżości, przyczem wszystkie braki, jak: pieg, zmarszczki, wagi i t. p. giną niepostrzeżenie po kilku dniach. Tyśiące pań zostało olśnionych rezultatami.

Do nabycia wszędzie.

TABLETKI

CRINI



*Niezawodny
środek na porost włosów.*

ESKA " FABRYKA CHEMICZNA SP. Z O.O. POZNAŃ, FR. RATAJCZAKA 2.

Tabletki „CRINI” fabrykowane pod nadzorem powag naukowych, zawierające wszelkie do porostu włosów potrzebne budulce, zżywa się 3 razy dziennie po 2 tabl., są jedynie racjonalnym środkiem do pobudzenia porostu włosów i usuwania ich wypadania. Do nabycia w słoikach zawierających ca 250 tabl. po zł. 6.— w aptekach, składach aptecznych i perfumerjach.
Prospektów żądać darmo i franko.

Przedstawicielstwo i sprzedaż hurtowa Z. BASZYŃSKI
Warszawa, Sienna 19. Telef. 317-94.

Zaoszczędzisz bieliznę, pracę i czas,
używając mydło i proszek do prania

„BLASK”

Najlepiej konserwują cerę mydła toaletowe
Wielkopolskiej Wytwórni Chemicznej.

Żądać we wszystkich perfumerjach, składach aptecznych
i mydlarniach.

Przedstawiciel na Kongr. i Kresy Wschodnie
Z. BASZYŃSKI, Warszawa, Sienna 19, telefon 317-94.

Chcesz mieć w czystości utrzymywane
mieszkanie, kantor czy
biuro, korzystaj ze stałych usług firmy.

A. ELŻANOWSKI

Warszawa, Górnośląska 20 m. 5 tel. 290-32

Warszawski kantor czyszczenia okien wysta-
wowych, wstawiania i kitowania szyb, cykli-
nowania i froterowania posadzek, reparowania
linoleum, odkurzania mebli i dywanów elektrycz-
nymi odkurzacami. Pakowanie okien na zimę.

PASTA DO OBUWIA **KOLORYT** ULTRAMARYNA
e ATRAMENTY o BARWNIKI

ZAUFANIE CZYTELNICZEK zdobyte rzetelną pracą wielu lat, wyra-
żone w tysiącach listów, pełnych uznawań i podziękowań — oto naj-
większa duma redakcji „Świata Kobięcego”. Czy chodzi o nasze mo-
dele mód zawsze wytworne i stylowe, a przeto spójne i praktyczne —
o nasze kroje, wedle których panie, nie znające się wcale na krawiec-
twie, potrafią sobie uszyć szykowne a tanie sukienki — o nasze rady
kosmetyczne opracowane przez wybitnego specjalistę, oparte na no-
woczesnych zasadach naukowych — o nasze przepisy i wskazówki gos-
podarcze obfite i wypróbowane — o nasze artykuły literackie, teatralne,
społeczne, w których dajemy naszym Czytelniczkom przegląd najcie-
kawszych wydarzeń w tych dziedzinach — o nasze roboty ręczne, któ-
rych wzory zawsze oryginalne, opierają się na artystycznym rozwoju
motywów polskich — o nasz poradnik indywidualny, w którym odpowia-
damy, w piśmie lub listownie, sumiennie i obszerne na wszystkie py-
tania naszych Czytelniczek w sprawach ubierania się, kosmetyki, higie-
ny, wychowania i innych. We wszystkich tych sprawach nasze Czy-
telniczki wiedzą o tem, że ich przyjacielem nigdy nie zawodziącym jest
jedyne

„ŚWIAT KOBIECY” Dwutygodnik ilustrowany.
Zeszyt o objętości 36—44 stronik druku, z mnóstwem ilustracji,
z 50—100 modelami mód, arkuszami krojów lub wzorów robót ręcz-
nych, do nabycia za zł. 1.20 we wszystkich księgarniach, kioskach i biu-
rach gazet. Prenumerata kwartalna zł. 10.—, półroczna zł. 16.— Po-
wołującym się na to ogłoszenie wysła bezpłatny egzemplarz okazowy
Administracja „Świata Kobięcego”, Lwów, Chorażczyzna 27.